



magazyn Gazeta Współczesna

DZIENNIK POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ

Nr 111 (9087) Białystok — Łomża — Suwałki, 17—18 maja 1980 r. Nakład: 173.091 Cena 1 zł

Biuro Polityczne KC KPZR zaaprobowało działalność delegacji radzieckiej na naradzie Układu Warszawskiego

MOSKWA (PAP) — Po rozpatrzeniu wyników jubileuszowej narady Doradczego Komitetu Politycznego Państw — Stron Układu Warszawskiego, która odbyła się w Warszawie w dniach 14—15 maja 1980 r., Biuro Polityczne KC KPZR, Prezydium Rady Najwyższej ZSRR i Rada Ministrów ZSRR w pełni zaaprobowały działalność delegacji Związku Radzieckiego z sekretarzem generalnym KC KPZR, przewodniczącym Prezydium Rady Najwyższej ZSRR, Leonidem Breżniewem na czele.

Czwierć wieku, jakie upłynęło od czasu podpisania Układu Warszawskiego dowodzi, że wielostronny sojusz państw socjalistycznych jest nader doniosłym czynnikiem

pokoju w Europie i w skali światowej. Układ Warszawski niezawodnie broni socjalistycznych zdobyczy należących do niego państw, skutecznie służy interesom pokojowej współpracy.

Państwa — Strony Układu Warszawskiego opowiadały się i opowiadają nadal za rozwojem i pogłębieniem procesu odprężenia, za radykalnym odwróceniem międzynarodowego klimatu politycznego. Zostało to raz jeszcze z całym naciskiem potwierdzone w Deklaracji uchwalonej przez naradę Doradczego Komitetu Politycznego w stolicy Polski.

W tym doniosłym dokumencie politycznym zawarta jest głęboka analiza współczesnej

sytuacji w Europie i sytuacji międzynarodowej oraz ujawnione zostały przyczyny jej zaostreżenia. Siły imperialistyczne i hegemonistyczne dążą do nasilenia wysiłku zbrojeń i wywołują sytuację konfliktową, co prowadzi do zwiększenia niebezpieczeństwa wojny. Na ostatnim majowym posiedzeniu kierowniczych organów NATO znów zostały podjęte decyzje zmierzające w tym kierunku. Niebezpieczne polityce NATO kraje Układu Warszawskiego przeciwstawiają szeroki program działań, których celem jest wyeliminowanie groźby wzmocnienia zimnej wojny, umocnienie zaufania i wzajemnego zrozumienia, skierowanie biegu wydarzeń na zdrowe, pokojowe tory.

Po raz siódmy w Łomży Święto Kultury Staropolskiej

Święto Kultury Staropolskiej w Łomży ma już swą tradycję. Początkowo impreza o ambicjach skromnych, której celem było przede wszystkim przypomnienie tradycji Ziemi Łomżyńskiej — stała się wydarzeniem o zasięgu ogólnokrajowym.

Święto ma już swój specjalny charakter, co nie oznacza, że nie mogą się podzielić propozycje nowe. W tegorocznej edycji imprezy, która odbędzie się w dniach od 23 do 25 maja, również kryją się niespodzianki. Po raz pierwszy więc zorganizowano wystawę rzeźmiarską artystyczną. Zaprezentują się na niej rzeźmiśnicy z kilku okręgów m. in. gdańskiego, poznańskiego i olsztyńskiego, a Izba Rzemieślnicza w Białymstoku przedstawi prace dyplomowe, wykonane przez adeptów rzemiosła — będzie więc okazja,

aby podczas święta wręczyć uroczyste nominacje mistrzowskie. Będzie co oglądać, ale nie tylko. Wyroby z burzyny, drewna, ceramika, tkaniny znajdują się potem na kiermaszu i będzie można je po prostu kupić.

24 maja w skansenie w Nowogrodzie odbędzie się — i to też jest nowość — rajby, czyli tradycyjne kurpiowskie zarczyn. W spektaklu wystąpią — miejscowa kapela i zespół śpiewaczy (nagrada w ogólnopolskim konkursie folklorystycznym w Kazimierzu)

oraz mieszkańcy Nowogrodu i okolicznych wsi.

Na stałe w Święto Kultury Staropolskiej wpisał się seminarium pisarzy. Tegoroczne, które zgromadzi blisko pięćdziesięciu ludzi pióra z całego kraju odbędzie się w czteryście pięćdziesiąt rocznicę urodzin Jana Kochanowskiego i ten fakt przesądził o charakterze spotkania. Pobyt pisarzy w Łomży nie ograniczy się tylko do uczestnictwa w zajęciach seminarijnych. W całym województwie odbędzie się liczne spotkania autorskie. Podczas święta wręczone także zostanie — po raz drugi zresztą — nagroda literacka wojewody łomżyńskiego. Kto ją otrzyma — zadecyduje jury pod

ciąg dalszy na str. 2

Życzenia urodzinowe dla papieża Jana Pawła II

WARSZAWA (PAP) — Z okazji przypadającej w dniu 18 maja br. 60 rocznicy urodzin papieża Jana Pawła II — Edward Gierk, Henryk Jabłoński i Edward Babiuch skierowali do jubilat następującą depeszę:

„W jubileuszowym dniu sześćdziesięciolecia urodzin Waszej Świątobliwości przesyłamy z oczystego kraju w imieniu narodu i najwyższych władz państwowych serdeczne pozdrowienia i najlepsze życzenia.

Naród polski doświadczony przez gehennę wojny i hitlerowskiej okupacji, znany z bohaterstwa w walce o wolność i podziwiany w świecie za tytaniczną pracę nad odbudową i rozwojem kraju odczuwa satysfakcję, że jego syn sprawujący najwyższą godność w Kościele z taką pasją ostrzega przed siłami wojny, protestuje przeciw nędzy i niesprawiedliwości, rozwija wysiłek na rzecz pokoju, odprężenia i współpracy międzynarodowej.

Wyrażamy zadowolenie, że w tej doniosłej sprawie występuje znacząca zbieźność myśli i działań Waszej Świątobliwości i najwyższych władz Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Troska o bezpieczeństwo i pomyślny rozwój socjalistycznej Ojczyzny jednocy dziś wszystkich Polaków i sprzyja współdziałaniu Kościoła z Państwem w realizacji wielkich celów narodowych.

Jesteśmy przekonani, że stosunki Polski ze Stolicą Apostolską nadal kształtować się będą pomyślnie.

Życzymy Waszej Świątobliwości zdrowia, sił i wszelkiej pomyślności w służbie dla powszechnego dobra”.



W wiosennym nastroju.

CAF — T. Wolezak

18 maja — Dzień Czynu Partyjnego

Manifestacja jedności

Partia stanowi potężną siłę, która przewodzi narodowi w dziele budownictwa socjalistycznego, pomnażaniu wspólnego, ogólnospołecznego dorobku. Jest ona inicjatorką i organizatorką zbiorowego wysiłku wszystkich Polek i Polaków. Bo tylko pracą, mądrą, przemyślaną i rzetelną pracą, przynoszącą konkretne, wymierne efekty gospodarcze i społeczne, możemy najlepiej służyć krajowi, manifestować swoje przywiązanie do ludowej Ojczyzny, okazywać obywatelskie i patriotyczne postawy. Przynależność do partii nie daje żadnych przywilejów, ale oznacza wzięcie na swe barki dodatkowych obowiązków i zadań.

O tej prawdzie dobitnie przypominają doroczne Czynu Partyjnego. Właśnie stając w niedzielę do Czynu Partyjnego ukazujemy naczynie gotowości podejmowania dobrej przemysłowej, zorganizowanej działalności na rzecz najbliższego środowiska, wsi i miasta, regionu i kraju.

Może jak nigdy potrzeba nam dziś dyscyplinowania, wzorowej, sprawnej organizacji, pomyślności, inicjatywności i współodpowiedzialności za wykonanie powierzonych każdemu z nas zadań. Głównie — w pracy. W codziennej, mozolnej, często najprostszej pracy. Najprostszej, ale i tak niezbędnej, pozytywnej.

Nieprzypadkowo od lat przygotowaniem do Dnia Czynu Partyjnego towarzyszą gospodarska, zapobiegliwa krzątania. W miastach, gminach, zakładach wyznacza się poszczególnym zespołom odpowiednie odcinki robót, gromadzi materiały, narzędzia, środki transportowe, wyznacza fachowców, którzy będą czuwać nad prawidłowym wykonaniem zaplanowanych prac. Przy instantach partyjnych działają specjalne sztaby, kierujące przygotowaniem do Czynu Partyjnego.

Rzecz idzie bowiem o to, aby skupić wysiłek na najważniejszych odcinkach robót, które są ważne z punktu widzenia ogólnospołecznych potrzeb. I tak w Białymstoku będzie to porządkowanie nowych osiedli, placów i ulic, parków i zielonych. W wielu gminach woj. białostockiego, łomżyńskiego i suwalskiego partyni i bezpartyjni rolnicy postanowili przyspieszyć opóźnione prace polowe, naprawić lub pობudować nowe drogi, zalesić nieużytki. Pracować także będziemy przy zadrzewianiu osiedli, budowie i konserwacji obiektów socjalnych, kulturalnych, rekreacyjnych.

A więc nie będzie to praca na pokaz. Przyniesie ona konkretne efekty, które dla każdego będą później widoczne i odczuwalne. Taka praca powinna dać satysfakcję uczestnikom Czynu Partyjnego, zachęcić innych do podejmowania podobnych społecznych działań na rzecz najbliższego środowiska i miejsca zamieszkania, regionu i kraju. Masowy udział w Czynie będzie także dowodem wartości szeregów partyjnych, a jednocześnie gotowości przodowania w pracy, porównania swoim przykładem innych do zaangażowania, obywatelskiego wysiłku dla wspólnego dobra.

Weszło już w tradycję, że do pracy w Dniu Czynu Partyjnego obok członków i kandydatów PZPR stają również członkowie bratnich stronnictw politycznych — ZSL i SD, organizacji młodzieżowych i społecznych, liczne rzesze bezpartyjnych. Dzień Czynu Partyjnego staje się tym samym manifestacją moralno-politycznej jedności i nardu, wyrażeniem przywiązania społeczeństwa do partii oraz gotowości powszechnego uczestnictwa w realizacji programu wytyczonego przez VIII Zjazd PZPR.

Wenezuela — USA
● BRASILIA — Wenezuela oficjalnie zapowiedziała wycofanie się z udziału w ćwiczeniach wojskowych w rejonie basenu Karabskiego. Poinformował o tym minister obrony Wenezueli, gen. Luis Enrique Ranjel. Cwiczenia te — dodał — wywołują zdecydowany protest Kuby, Nikaragui, Grenady i wielu innych krajów.

Wizyta delegacji NRD na Kubie
● BERLIN — Agencja ADN zakomunikowała, że w końcu maja br. uda się na Kubę z oficjalną wizytą przywódcy delegacji partyjno-państwowej NRD z sekretarzem generalnym KC NSPJ i przewodniczącym Rady Państwa NRD Erichem Honeckerem na czele. Delegacja przybędzie do Hawany na zaproszenie I sekretarza KC KP Kuby, przewodniczącego Rady Państwa i premiera Kuby, Fidela Castro Ruz.

Sportowcy portugalscy pojadą na Olimpiadę
● LISBONA — Krajowy Komitet Olimpijski Portugalii powołał decyzją uchwaloną w letniej Olimpiadzie moskiewskiej Portugalii wysłać swych sportowców na Igrzyska Olimpijskie — obywateli przedstawicieli komitetu — mianem następujących: Francisco de Carneiro.

Obliczenia WSPÓŁCZESNOŚCI

Fragmenty pracy nr 316. Autorem jej jest inżynier-włókiennik.

Wszystko, co nasze...

Moi rodzice byli ludźmi prostymi, wywodzącymi się z klasy robotniczej, mieli ukochaną szkołę podstawową, przy czym matka nie posiadała żadnego wyuczonego zawodu, natomiast ojciec był stolarzem meblowym. Przed wojną mieszkaliśmy w obszernej izbie, bez gazu, bez światła i wody. Ponieważ ojciec nie miał stałej pracy, często zalegałszy z czynszem za mieszkanie i jak dziś pamiętam gospodarza, który z czerwona od gniewu miną, wykrzykiwał na podwórzu „...że się z tymi komunistami rozprawi i zrobi po rzadkie, wyrzucając na bruk...”. W tym czasie nie wiedziałam co znaczy słowo komunista (miałem 5 lat), lecz teraz mogę stwierdzić, że ojciec był tylko wyrobnikiem, sprzedającym prywatnym właścicielom swa siłę, miał się różnymi sposobami, by zarobić na utrzymanie rodziny, lecz mu się to nie udawało.

Matka prowadziła dom i próbowała różnymi drobnymi posługami wzmacniać szczupłe rezerwy gotówki domowej. Wojna pozbawiła nas wszystkiego, nawet i tych znikomych zasobów materialnych i gdy nadeszła wolność, byliśmy bez środków do życia.

Rodzice, póki żyli, pomagali mi, abym — jak mawiał ojciec — „wyrósł na człowieka”. Często też mawiał: „masz teraz w nowej Polsce obywatelską szansę mój synu, ucz się ile tylko możesz, bezdziesiąt miał lepiej niż ja. Chciałem się uczyć. Miałem zdolności do rysunków. Zdawałem egzamin do szkoły średniej, lecz z góry wiedziałem, że nie mam żadnych szans, bo byłem synem biednych. Teraz takich barier już nie ma. Wszyscy mogą korzy-

stać z dobrodziejstw oświaty”.

Uczyłem się więc z ochotą. Nauka w moim czterdziestoletnim życiu wypełniała mi życie. Lecz kto raz jej posmakował, już do końca życia musi się uczyć. Bóg przecież co to za inżynier, który na bieżąco nie uzupełnia swoich wiadomości najnowszymi osiągnięciami techniki. W momencie, gdy startowałem w życie z dyplomem wyższej uczelni czułem, że zacynam od zera. Nie miałem mieszkania (a teraz mam M-4), miałem dwa garnitury i trochę innych drobiazgów. Wiedziałem również, że dano mi wielką szansę i tylko ode mnie zależało, czy ją wykorzystam, czy zmarnuję. Należało do tych studentów, którzy nie mogli nie skończyć politechniki, bowiem nie miałem tak bogatych rodziców, by z zimną krwią przegrać w

ciąg dalszy na str. 4

Jedną noc w pokera 35 tysięcy złotych, a byli i tacy. Gdy w czasie studiów chciałem mieć więcej forsy, wspólnie z kolegami szliśmy pracować. Czyszciliśmy parkiety, myliśmy fabryczne okna, wyładowaliśmy węgiel w nocy, statystkowaliśmy w filmie. Takich jak ja było wielu. Nie pisałem o tym, aby się skarżyć na los, ale pisałem dla dzisiejszej młodzieży, która narzeka, że za mało otrzymuje, miast brać byka za rogi i walczyć.

Pamiętam jak dziś moją kuzynkę, która po pierwszym roku studiów zrezygnowała z nauki dlatego, że jej koleżanki były lepiej ubrane i, jak sama mówiła, odnieśliśmy przychody w innych nowych ciuchach. Wtedy ona musiała do pracy, robić pieniądze po to, by się ubrać... Nie wiem czy my studenci z 1954 roku byliśmy aż tak niepraktyczni w porównaniu do studentów z 1964 roku! Uważam, że celem życia nie może być tylko i wyłącznie zdobywanie pieniędzy, bo wtedy sami stwarzamy sobie złą klątwę.

Uważam, że człowiek żyje na świecie po to, by pomagać drugiemu człowiekowi, by to co ma w sobie najlepszego oddał swojemu narodowi bez reszty, by zostawił po sobie, jeśli tylko potrafi, ślad na skale. Ci, którzy w swym codziennym działaniu myślą wyłącznie o zdobywaniu góry złota, przynajmniej mogą mieć i na pewno będą mieli łatwiejsze życie, lecz nigdy nie poznają tych wspaniałych, radosnych, może czasami gorzkich i smutnych chwil radości tworzenia. Tworząc tylko dla siebie złote ołtarze zapomniał o tym, że największym luksusem między nami, to życzliwość, uprzejmość, wzajemna pomoc. Po-

ciąg dalszy na str. 4



Nowalijki

Na początku dekady Białystok korzystał z nowalijek podwarszawskich. Postanowiono wtedy aglomerację otoczyć pierścieniem upraw warzywniczych. W zamysle już w tym roku Białystok miał być samowystarczalny w salacie, szczyprze, pomidorach i ogórkach. W znacznej mierze zadanie się powiodło.

Jednym z głównych zaopatrzeniowców miasta stała się Spółdzielnia Ogrodnicza w Dobryńwie. W tym roku Białystok otrzymał z tej Spółdzielni 60 ton pomidorów, 15 ton ogórków, 30 tys. główek salaty i 15 tys. pęczków szczypru. W najbliższym czasie Spółdzielnia wzbożona się o kolejną szklarnię z pomidorami. Nowalijek powinno więc być z każdym dniem więcej.

NA ZDJĘCIU: przy sortowaniu salaty WIOLETTA MO- NIK i prezes Spółdzielni — HENRYK KATRUK (haka) Fot. Zdzisław Lenkiewicz

z trzech województw

POSIEDZENIA EGZEKUTYW KW PZPR W BIAŁYMSTOKU...

Spółeczne i praworządnościowe aspekty postępowania karnego w praktyce prokuratur województwa białostockiego były jednym z tematów rozpatrywanych na wczorajszym posiedzeniu Egzekutywy KW PZPR w Białymstoku. W ostatnich latach praca Prokuratury Wojewódzkiej i prokuratur rejonowych uległa znacznej poprawie. Pomyślnie realizowany jest program określany przez Biuro Polityczne KC, mający na celu kontynuację działań zmierzających do zapewnienia bezpieczeństwa, ładu, porządku publicznego i dyscypliny społecznej. Podkreślono dobrze układające się współdziałanie z organami MO i organami kontroli. Wzrosła jakość i szybkość postępowania przygotowawczego, lepsza i skuteczniejsza jest działalność profilaktyczna.

Mimo niewątpliwych osiągnięć w pracy prokuratury, Egzekutywa zaleciła starania o bardziej prawidłowe wykorzystanie wysokokwalifikowanych kadr, o lepszą organizację pracy. Spełnienie min. tych wymogów przyczyni się do bardziej skutecznych działań na rzecz porządku i bezpieczeństwa.

Egzekutywa KW partii zapoznała się też z informacją o stanie jakości i nowoczesności produkcji rynkowej i eksportowej zakładów woj. białostockiego. Uzyskanie wysokiej efektywności gospodarowania — podkreślono — jest równoznaczne z uzyskaniem wysokiej jakości produkcji. Tak postawione zadanie realizowane jest w działalności gospodarczej — jednostek przemysłowych i budowlanych w woj. białostockim. Świadczą o tym nie tylko zmniejszające się reklamacje odbiorców rynkowych i eksportowych; w odniesieniu do producentów — świadczy o tym także rosnąca ilość wyrobów oznaczonych znakami jakości. Na tym tle Egzekutywa zaakcentowała potrzebę stałych wysiłków kadry kierowniczej zmierzających do pełnego wykonania zadań planowych, szczególnie dotyczących eksportu.

Egzekutywa zapoznała się również ze stanem przygotowań do Dnia Czynu Partyjnego. (Jag)

...ŁOMŻY

Realizacja programów przyspieszonego rozwoju ośrodków miejsko-gminnych była przedmiotem dyskusji na wczorajszym posiedzeniu Egzekutywy KW partii w Łomży. Szczegółowe informacje o tym, jak przebiega realizacja tych zadań, będzie w najbliższym czasie.

Ciąg dalszy na str. 2



— Z możliwości, jakie daje mi Pański życiorys — krytyka, redaktor i działacz oraz wydawca — chciałbym wybrać ten fragment, który jest najbardziej aktualny. Zresztą nie tylko aktualność przesądza o wyborze, ale i sytuacja na rynku księgarskim: jako jego uczestnik od drugiej strony i jako odbiorcę, mam coraz mniej książek, coraz gorzej na nie papier i — często — coraz gorszą bazę poligraficzną do ich produkcji. Potwierdzeniem moich odczuć może być informacja, że wielu atrakcyjnych tytułów pochodzących z oficyny, którą Pan kieruje, nie można nabyć w księgarni, ale za to można je nabyć na jej targu po cenach spekulacyjnych, często — na początku był wódor! — czy Bicha Fromma „Zapomniany język”.

Jeżeli zgodzimy się, że rynek księgarski wymaga naprawy, że jego stan zależy od pracy wydawnictwa, to ustalmy też, jakie środki do tej naprawy mogą prowadzić i jakie należy ich szukać: w obszarze rozstrzygnięć organizacyjnych czy decyzyjnych programowych?

— Przede wszystkim należy uporządkować te sprawy, które dotyczą całej naszej gospodarki, a więc uregulować rytmikę dostaw i rytmikę procesów produkcyjnych. W przypadku tak specyficznej branży, jak produkcja książek, należy też uporządkować gospodarkę papierem. Mam tutaj na uwadze asortyment, jakość i ilość tego surowca oddawanego do dyspozycji wydawców. Są to sprawy niezmierznie ważne, rozstrzygane jak dotąd interwencyjnie, ale także rozstrzygnięcia — spotęgowane dotychczas — procesów kooperacyjnych — zajmują około 70-80 procent czasu w bilansie czasu pracy wydawnictwa. Dopiero to co pozostało, a więc 20-30 procent naszych „mocy produkcyjnych”, które, w gruncie rzeczy, stanowią czas odpowiednio wykwalifikowanych ludzi — możemy przeznaczyć na współpracę z autorami, czytelnikami i księgarzami. Nie musimy chyba dodawać, że te proporcje powinny ułożyć się akurat odwrotnie.

— Czy tak rysuje się obraz Państwowego Instytutu Wydawniczego — tylko dzisiaj, czy taki sam był w przeszłości?

— Gdybym powiedział, że tylko w 1980 roku czy w 1979 — byłoby to stwierdzenie nie oddające istoty problemu, choć w tych właśnie latach skumulowały się najgroźniejsze skutki wcześniejszych zdarzeń i decyzji. Zaliczam do nich w pierwszym rzędzie cięcia oszczędnościowe i trudności energetyczne, które rzucają dzisiaj na możliwości przemysłu poligraficznego, a niekorzystną sytuację pogłębiają jeszcze: brak papieru, różnorodne druki interwencyjne, które zwykłe zakłócają tok produkcji książek i nastawienie przemysłu poligraficznego na tzw. przerób. Takie właśnie uwarunkowania przesądzały o tym, że nie mogłyby wymienić ani jednego tytułu PIW, który ukazał się w terminie zapowiadanych przez drukarnie i że z dawna zapowiadane przez nas tytuły Bibliothecae Mundi do dzisiaj leżą w drukarni Domu Słowa Polskiego.

— Powiedział Pan przed chwilą, że jednym z czynników wpływających na opóźnienia w druku książek jest „przerób”, jaki musi wypracować przemysł poligraficzny. Czy z tego ma wynikać, że produkcja książek jest deficytowa?

— Skądże znowu! Według danych za 1978 rok — później-

szymi nie dysponuje — produkcja książek dała globalnie do Skarbu Państwa 400 milionów złotych czystego zysku. Proszę zauważyć, że zysk ten został wypracowany w sytuacji, gdy nakłady były o wiele niższe, niż życzył sobie tego rynek czytelnicy. Gdyby wydawcy byli w stanie zaspokoić te życzenia, zysk wzrosłby niewątpliwie w postępie geometrycznym, bo niezależnie od wpływów ze sprzedaży książek — na ostatnią stopę zysku rzutuje jeszcze jeden czynnik. Otóż my z reguły inwestujemy w pierwsze wydanie książki, oplatamy koszt druku i papieru, a potem nie jesteśmy w stanie wydać szybko drugiego nakładu z tego samego składu, który właściwie mamy za darmo. To „szybko” oznacza maksimum pół roku, bo potem koszty magazynowania składu stają się wyższe niż nowy skład. Trudno mi to zrozumieć w sytuacji, gdy nasze zapotrzebowanie na usługi poligraficzne zaspokajane jest zaledwie w 40 procentach, a jeszcze mi trudno jest zrozumieć powody przesładczeń, że do książki trzeba dopłacać.

— Oficyna obsługująca tak porządnie rynek czytelnicy jak PIW, mimo wskazanych przez Państwa ograniczeń, nie też zapewne jakieś potrzeby tego rynku i jakie obszary jego zainteresowań nie mogą być zaspokojone przez „biłkowską” książkę.

— Odpowiedź znajdzie pan w statystyce: w roku 1975 wydaliśmy książki w nakładzie siedmiu milionów egzemplarzy; w roku ubiegłym — w nakładzie pięciu i pół miliona. Tytułów — według planu — powinniśmy wydawać rocznie od 280 do 300, a wydajemy około 230. A jak szacuje zapotrzebowanie na książki PIW? Skromnie licząc, przy tym planie tytułowym, jaki realizujemy — na jakieś 15 milionów egzemplarzy.

— Po takiej diagnozie, przykre dla oficyny, a groźnej dla czytelnika i stanu kultury — musimy mieć nadzieję. Są szanse, poprawy? Jak?

— Środowisko literackie i wydawcy zgłosili cały szereg propozycji, które powinny dać nam stopniową poprawę w latach 1981-1985. Dyskutowaliśmy na tymi propozycjami, 28 kwietnia, na zebraniu Podstawowej Organizacji Partyjnej przy Związku Literatów Polskich i odniosłem wrażenie, że ich zbiór został uznany za całkowicie satysfakcjonujący. Ministerstwo Kultury i Sztuki również uznało proponowane środki zaradcze za sensowne i realne, uformowało je w projekt odpowiedniego dokumentu, który zakłada co roczny przyrost produkcji wydawniczej o 25 milionów egzemplarzy. Gdyby projekt ten został zrealizowany, to w roku 1985 przypadłaby będzie w Polsce osiem egzemplarzy książek na głowę mieszkańca, a więc dwa razy więcej, niż dzisiaj. Proszę jednak zauważyć, że jest to projekt dokumentu, a nie program rządowy.

— Wróćmy do problemu metod rozpoznawania czytelników zainteresowanych. Czym kierujemy się w konstruowaniu planów wydawniczych, a jeszcze mi trudno jest zrozumieć powody przesładczeń, że do książki trzeba dopłacać.

— Skądże znowu! Według danych za 1978 rok — później-

szych, dzięki czemu książki Państwowego Instytutu Wydawniczego mają tzw. wzięcie, a oficyna tak wysoką renomę?

— Najprostszą metodą ustalania potrzeb rynku czytelników jest rejestrowanie informacji napływających od księgarzy. Sprawdzamy one przede wszystkim przy wzniesieniu tytułów. Natomiast przy wchodzeniu na rynek z całkiem nowymi tytułami, kierujemy się własną intuicją socjologiczno-kulturową i wnioskami, jakie daje nam śledzenie zainteresowań społecznych. Oczywiście, że mówiąc o intuicji nie mam na myśli żadnego „tak nam się wydaje”, ale sygnały, jakie odbieramy ze światowego rynku wydawniczego, zaś ustalanie zainteresowań społecznych nie ma charakteru drobiazgowych badań. Objawiają one na przykładzie naszych serii wydawniczych.

Ponieważ wyszliśmy z założenia, że cechą kultury Polaków jest przemożna ciekawość świata, że Polak lubi być na bieżąco ze współczesną refleksją o świecie i o człowieku —

zaproponowaliśmy serię pod nazwą Biblioteka Mysli Współczesnej. Inny przykład: wychodząc z założenia, że ludzkość współczesna dokucza poczucie przeciętności, że istnieje w niej przemożna potrzeba zakwestionowania własnej i cudzej anonimowości uruchomiliśmy Biografię Sławnych Ludzi. Pozytywnie z tej serii pozwalają „odejść” jak w dziejach rodzi się wielkość człowieka, z jakich postaw i warunków wyrasta ludzie wybitni. Stąd zapewne każda książka z tej serii — ostatnio choćby „Ryszard III” — staje się natychmiast bestsellerem. Sadzę, że o trafności stosowanych przez nas metod rozpoznawania gustów czytelników świadczą też inne serie, by wspomnieć o Rodowodach Cywilizacji czy Klasykach Historiografii, serii w której staraliśmy się wydobyc i przypomnieć te wszystkie nurty refleksji historycznej, które dokonują analizy i samoanalizy polskich tradycji, polskich doświadczeń historycznych i które nacechowane są sensownym nastawieniem rewizjonistycznym wobec polskich dzieł czy też o takich, jak „Życie Codzienne”, „Ludzie Żywi”. Współczesna Proza Światowa itd.

— A jakie potrzeby rynku czytelniczego nie znajdują — Pańskim zdaniem — odpowiedniego odzwierciedlenia w planach wydawniczych?

— Wydaje mi się, że w sposób jedynie załaskowy rozumiemy te wydawnictwa, które mogłyby stać się — na przykład — odpowiednikiem francuskiej oficyny Larousse’a. Nie mówię tu tylko o PIW-ie, ale generalnie o sytuacji na rynku wydawniczym w Polsce. Ciągłe brak nam literatury poradnikowej, popularnych wydawnictw słownikowych, encyklopedii itd.; brak nam tej literatury, która służy powszechnej edukacji społeczeństwa. Jeżeli zestawimy pan 1000-1500 tytułów literatury tego typu, jakie w ciągu roku pojawiają się na rynku francuskim, z około 120 tytułami na rynku polskim, to obraz

zaniebawi wyrysuje się wystarczająco ostro. Jako niepokojącą odnotowuję też sytuację na rynku książki przeznaczonej dla młodzieży w wieku 12-18 lat. 100-120 tytułów i około 20 milionów nakładu rocznie w planie „Iskier”, to straszliwa dysproporcja w stosunku do potrzeb, choćby lekturowych.

— Jest Pan nie tylko dyrektorem PIW, ale także krytykiem, który swoje gusta uwierzytelnia drukiem w zbiorze esejów i krytyk pt. „Cywilizacja i literatura”, na łamach „Twórczości” i „Nowej Kultury”. Czy osobisty gust dyrektora nie rzutuje przy padkiem na decyzje kierowanej przez niego oficyny?

— Jeżeli idzie o literaturę piękną — na pewno nie. Występowam się po prostu przykładami swoich gustów do kryteriów wydawniczych, bo wówczas mogłaby zawezwać się oferta wydawnictwa o te książki, których nie lubię, a tym samym — węższy byłby krąg współpracujących z nami autorów i czytających nasze książki czytelników. Jeżeli moje gusta wyrażają się w

czymkolwiek, to na pewno w kontynuowaniu i otwieraniu nowych serii wydawniczych. Mówiliśmy już o nich, o ich ideowym uzasadnieniu, ale formowanie części naszego planu wydawniczego w serie wydawniczej ma też inne uzasadnienie. Po pierwsze: seria dyscyplinuje poszukiwania wydawnicze, pozwala wciągnąć do naszych przedsięwzięć większą ilość ludzi — pracowników PIW i konsultantów z zewnątrz — którzy mogą skoncentrować się na ściśle określonym kierunku poszukiwań, a jednocześnie informują niejakie naszych pracowników i kręgi naukowe o tym, w jakim zakresie oczekujemy inicjatyw i propozycji. Po drugie: seria wydawnicza niewątpliwie ukierunkowuje zainteresowania czytelników. To dochodzi do głosu kulturowe znaczenie roli wydawcy, jako konstruktora stańców świadomości zbiorowej.

— Z Pańskiej książki pt. „Cywilizacja i literatura” wybrałem następujący cytat: „Dowiedziona to prawda, że wszelka dziedzina

życia wyjęta spod oddziaływania krytycznego — jałowicie. Każdy to przecież chce, ale nie ogół hipokryzji”. Kiedy krytyka mierzy w innych, uważa to za udrędlenie, kiedy krytyka mierzy w niego, uważa to za nadzyszcze. Jest jeszcze dalsza część tej prawdy, nie mniej dowiedziona przez życie: jest mądry akceptuje krytycznego partnera dla własnego dobra, a głupi tepli go na własną zgubę. Również i ta maksyma światłej tolerancji ma o sobie wyznawania jest relatywna. Z zapalem namawiamy drugich, żeby byli mądrzy, sami wolimy trzymać się wypróbowanej drogi głupich”. Cytat jest obszerny, ale potrzebny mi tu po to, by spytać: jak pasjonujące oceny i bezkompromisowe sady Andrzeja Wasilewskiego, który w latach sześćdziesiątych zaatakował naszą cywilizację, niedorostą ukłanianą w arystokratycznym duchu (należącej do importu), przystaje do obrazu Polski lat siedemdziesiątych? Lepiej jest gorzej? Doceniamy krytycznych partnerów czy tępiamy ich na własną zgubę?

— Swoją książką staram się utrafić w napięcia psychiczne lat sześćdziesiątych. Nie mam rzeczą sądzić czy trafienie było celne, ale skoro pyta pan o stopień aktualności moich ówczesnych sformułowań, to ująłbym to tak: po tym, co zrobiliśmy w latach siedemdziesiątych w sferze materialnej, niewątpliwie osłabła ostrość kompleksów cywilizacyjnych, ale zarazem wyostrzyły się na tym korzystniejszym — ale pewnie niedostatek — w zakresie upowszechniania kultury. Wówczas alarmująca wydawała mi się sytuacja w sferze kultury materialnej, dziś — choć z materiału nie wszystko w porządku — bardziej mnie niepokoi sytuacja w sferze kultury duchowej. Dotyczy to wielu dziedzin, a w tym najbliższych mi problemów obieg książki i twórczości literackiej. Niepokoi mnie na przykład to, że polska literatura współczesna — w przeciwieństwie do współczesnego filmu polskiego — często ucieka od żywych doświadczeń społecznych i albo zajmuje się tzw. problematyką egzystencjalną, albo kreacjami formy, albo ucieczką w historię. Rozumiem, że każdy autor może powiedzieć, iż temat współczesny jest najczystszy trudnością, że nie można więc pisać czynić tego rodzaju zarzutów. W pewnym stopniu gotów byłbym podzielać takie stanowisko.

— Ale reportaż nie boi się współczesności...

— Miałbym tu pewne wątpliwości. Reportaż powstaje w ciągu miesiąca, dwóch; książka prozatorska w ciągu roku, dwóch lat. Przypina chyba, że ryzyko inwestowania przez dwa lata w robotę, której efekty nie będą miały szans zaistnienia na rynku czytelnicznym, jest jednak o wiele większe. Dlatego jestem za szerszym otwarciem obszarów poddawanych literackim penetracjom.

— Pozwól Pan, dyrektorze, że na zakończenie przedstawię Państwu wadliwość od wszystkich słuchaczy biłkowskiej Wszechnicy Mysli Współczesnej i wierszy członków Klubu WWP; za to, że nas wspieracie, że patronujecie naszym poczynaniom, i że dzięki Waszemu patronatowi rynek księgarski Biłkowskiego jest bogatszy o 200 egzemplarzy każdej książki z serii Biblioteki Mysli Współczesnej. Nam się to opłaca, chociaż projektując Wszechnicę miałem wątpliwości czy to w ogóle się wyjdzie.

— A nas, jako oficynę, to cieszy. Po większości spotkań docierają do mnie głosy prelegentów i opinie na pograniczu zachwytu. Spotykam się nawet z sędzią, że jest to działalność modelowa, która była w stanie zaanimować żywy udział czytelników w jakże już często nudnych spotkaniach autorskich. Ale to pewnie dlatego, że to nie są tradycyjne spotkania autorskie, ale autentyczne spotkania ludzi, którzy mają dużo do powiedzenia — z ludźmi, którzy chcą dużo wiedzieć. Krótko mówiąc: prawdziwa wszechnica, na której przekazywane są współczesne myśli i to wysokiej próby.

FRANCISZEK PIATKOWSKI
Fot. Danusia B. Łomaczewska

W OSIĘDLU

Gdy Teofil Gromadzki zawiadomi o terminie zebrania organizacji partyjnej, to z góry już będzie wiadomo, że przyjdą na pewno: Jan Grodzik, Tadeusz Debiński, Tadeusz Olejniczak, bo są to jedni z najbardziej aktywnych.

NAJPIERW terenowa POP nr 1 w łomżyńskim osiedlu im. Waryńskiego liczyła 28 członków. Część jednak przeniosła się do POP na nowe osiedle „Jantar”, więc zostało ich tylko osiemnastu. Są to tawarsze, którzy mają długi staż partyjny. Na przykład Jan Grodzik należał do KPZB w najtrudniejszych latach, dzisiaj już na emeryturze, lecz wciąż jest nieustraszoną działaczką. Teofil Gromadzki był sekretarzem w Komitecie Gminnym w Włocławku i za dwa lata obchodziłby czterdziestą rocznicę przynależności do partii. Tadeusz Olejniczak jest znacznie od nich młodszy, ale jako uczestnik walk o wyzwolenie, swoje przeszedł, dzisiaj jest radnym i wiceprezesa ZBoWiD-u. W organizacji jest odznaczony nauczyciel Michał Tiborowski i plastyk Głoriasz Lorincz. Jest też młody taksówkarz, gospodyn domowa i najmłodsza 20-letnia kandydatka studiująca zaochnik. Są też emerytowani pracownicy MO. Skład socjalny jak widać jest różny. Czterech towarzyszy jest odznaczonych Krzyżami Kawalerskimi, jeden ma Krzyż Oficerski. To są oczywiście odznaczenia najwyższe. Inni uhonorowani są krzyżami: złotymi, srebrnymi, medalami, odznakami. Więc można powiedzieć, że w terenowej organizacji partyjnej nr 1 w Łomży zebrał się aktyw najprzedniejszy.

Oderwani od swoich dawnych zakładów pracy, od problemów, które towarzyszyły im przez całe lata, rozpoczęli działalność partyjną w swoim osiedlu. I wcale nie jest to takie łatwe, gdyż spraw tu tyle, ilu mieszkańców. Bo przecież, gdy ludziom w mieszkaniach leje się woda na głowę i gdy żadne interwencje nie pomagają, to wtedy idą do Grodzika i mówią — nogi już schodziłyśmy, do wielu drzwi pukaliśmy nadaremnie, może wy nam pomożecie? I idzie Grodzik, prosi, interweniuje, aż do skutku. Nie wszyscy towarzysze mają wystarczające emerytury, to trzeba im pomóc; i o węgeli się postarać, i coś załatwić.

Trzeba tu mieć wgląd we wszystko, od spraw bytowych po porządky w osiedlu. Właśnie organizacja partyjna wspólnie z komitetem blokowym musi tak kierować inicjatywą mieszkańców, żeby wszyscy czuli się odpowiedzialni za swoje posesje i całe osiedle. A balaganu tu jeszcze sporo. Niekiedy przychodzi Teofil Gromadzki do sekretarza Teofila Gromadzkiego i mówi: „na tym placu zniszczone ruiny cementowe, to jakże tak, przecież to są pieniądze”. I trzeba wtedy iść do przedsiębiorstwa i zwrócić uwagę na marnotrawstwo.

Nowemu osiedlu wiele brakuje jeszcze do ładu i porządku. Z inicjatyw organizacji partyjnej i komitetu blokowego wychodzą mieszkańcy, by w czynnie społecznym ułożyć chodniki, zasieć trawę i kwiaty. A co sami zrobili, bardziej szanują. I trwa rywalizacja między osiedlami — Waryńskiego i Jantarem. Na osiedlu Waryńskiego obok wielkich bloków stoją domki jednorodzinne, a Jantar, wiadomo, jest osiedlem w głowie, dzielnicą reprezentacyjną, więc i rywalizacja trudna.

Każdy z towarzyszy ma

przypisane zadania — są w komisjach kontroli społecznej, działają w radach narodowych, ORMO, ZBoWiD, mają więc wgląd w różne sprawy od właściwego zaopatrzenia sklepów, po spotkania z kombatanami.

Tak jak we wszystkich organizacjach terenowych, tak też i tu należą towarzysze będący już na emeryturze i rentach. Są to więc ludzie starsi wiekiem, o steranym zdrowiu. W obrębie ich obecnej działalności znalazły się sprawy tak różne od tych, z jakimi stykali się w swoim dawnym miejscu pracy, że nie zawsze potrafili sobie z nimi poradzić. Wiele tych spraw podlega kompetencji administracji, spódnicy mieszkaniowej, wiąże się z działalnością wydziałów urzędów miejskiego. I chociaż przedstawiciele tych instytucji są zapraszani na zebrania POP, jednak nie zawsze przychodzą i nie ma komu przedstawić nurtujących problemów. Nie często też pojawia się, opiekujący się organizacją przedstawiciel Komitetu Miejskiego. Sekretarz Teofil Gromadzki stara się go wprawdzie usprawnić, bo tu panuje takie przekonanie, że towarzysze z długoletnim stażem partyjnym sami poradzą sobie doskonale. Tylko nikt nie bierze pod uwagę ich podeszłego wieku.

Nie wychodzi im też szkolenie partyjne, do czego się przynajmniej tłumaczą tym, że jako ludzie starzy nie mają już takiej byskotliwości. I choć korzystają z pomocy podopiecznych, jakie szkolenie członków nie przychodzi. Niewątpliwie, gdyby ktoś zechciał do nich przybyć z ciekawym odczytem na przykład na tematy międzynarodowe, czy wewnętrzne, gdyby odczyt nie był nudny, przyszedłby nawet najstarsi. Mają gdzie się zbierać — szkoła udostępniła im jedną salkę, gdzie odbywają się zebrania. Wszystkie sprawozdania z tych zebrań są przepisywane na maszynie. To sekretarz Gromadzki pilnuje w zaprzężonych instytucjach, kiedy wolna jest maszyna do pisania. I pisze dwa trochę czasu, ale sprawozdanie to jeden z dokumentów ich działalności, więc musi być przejrzyste, napisane.

W Łomży, w której liczba ludności wzrasta z każdym rokiem, organizacje terenowe mają wielką rolę do spełnienia. Właśnie w miejscu zamieszkania, jak w soczewce skupiają się sprawy życia całego osiedla. Nie trzeba powtarzać, że organizacja terenowa to drugi front działalności partyjnej, równie ważny jak w zakładach i instytucjach. Tym organizacjom należy się większe zainteresowanie ze strony Komitetu Miejskiego PZPR.

Tak uważają towarzysze z organizacji terenowej nr 1 w Łomży, którzy w Dniu Czynu Partyjnego znowu wyjdą do pracy społecznej. Zabiorą się do porządkowania swego osiedla, zadają o zieleni, na ulicy Bema ułożą chodniki. Dołączą do nich inni mieszkańcy, jak zawsze podczas Czynu Partyjnego.

ANNA ZAREMBINA



To się chwali — oto polski kombajn do zbioru kmienu z pól uprawnych. CAF — E. Wołoszczuk

WARSZAWSKIE SPOTKANIE

Układ Warszawski i Pakt Północno-atlantyczny. Dwa sojusze, dwie przeciwstawne koncepcje polityczne. Kiedy w czasie warszawskiego spotkania przywódcy krajów socjalistycznych poszukiwali nowych możliwości ugruntowania pokoju i międzynarodowego odprężenia, ministrowie obrony i szefowie dyplomacji krajów NATO radzili w Brukseli nad wydatnym zwiększeniem budżetów zbrojeniowych.

W ostatnich latach liczne pokojowe inicjatywy krajów socjalistycznej wspólnoty oraz konsolidacja sił obronnych Układu Warszawskiego stały się istotnym czynnikiem stabilizacji na naszym kontynencie. Wymownym tego dowodem są postanowienia Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Helsinkach, które klimat zaufania, odprężenia i współpracy uznają za sprawę o doniosłym znaczeniu nie tylko dla Europy. Ale aby ów klimat stał się zjawiskiem powszechnym i trwałym musi być uzupełniony odprężeniem militarnym. Państwa Układu Warszawskiego wykazują w tej mierze dużo troski i dobrej woli. Dowodzi tego m.in. decyzja Związku Radzieckiego o jednostronnym zmniejszeniu kontyngentu wojsk radzieckich stacjonujących na terytorium NRD. Tymczasem Stany Zjednoczone, jakoby nie było innych trapiących świat niepokojów, przysięły w ostatnim czasie wyraźny kurs na zbrojenia. Jak nigdy, od kilku dobrych lat, znowu potrasza straszakami rakietowo-jądrowym. Co więcej — pod ich przemownym naciskiem państwa NATO dały się wmanewrować w obłędna spiralę zbrojeń. Potwierdza to zresztą dobitnie ostatnia sesja brukselska.

25 lat Układu Warszawskiego to okres dobre spełnione obowiązku w stosunku do potrzeb własnych i bezpieczeństwa europejskiego. I tej jego sprawności i spójności strzec będziemy jak zrenicy oka, pozostawiając zarazem otwarte drzwi dla dialogu, dla każdej inicjatywy odprężeniowej.

NAPIĘCIE W UGANDZIE

Sytuacja w Ugandzie jest napięta i niejasna. Oczekiwano od dawna stabilizacji, która nie nadchodzi. Przeciwnie — istnieje obawa, że może tu dojść do nowo do rozlewu krwi.

Ze skąpych doniesień z Kampali wynika, że w kraju tym istnieją w tej chwili dwa ośrodki władzy. Jeden z nich — jak się wydaje silniejszy — tworzą wojskowi. Drugi zaś — prezydent Binaisa. Ten ostatni ma swą kwatery w Entebbe,



w odległości 40 kilometrów od stolicy i korzysta z ochrony około tysiąca żołnierzy tanzańskich. Probiś między tymi dwoma ośrodkami ma swoisty podtekst. Jak można się zorientować zwojnowi, wśród których ważną rolę odgrywa wojskownicy niedawno przy Binaisie szef sztabu armii ugandyjskiej — plr David Ojok, oskarżając rząd o nieudolność, korupcję, rozbudzenie nienawiści plemiennych. Są przy tym zgodni co do tego, że w zapowiedziach na grudzień wszystkich grup politycznych, w tym także byłych prezydent kraj (obalony przed dzie wiciu lat przez Idi Amina), Milton Obote, który do dziś przebywa na wygnaniu. Zresztą wojskowi nie ukrywają swych sympatii do tego polityka. Warto w tym miejscu przypomnieć, że Binaisa był przeciwnikiem takiego rozwiązania, rezerwując — jak można się domyślać — foteł prezydenta dla siebie.

Tanzania, która ma w Ugandzie kilka tysięcy swych żołnierzy, znalazła się w nie lada kłopotach. Jak pogodzić zwalnione strony? Ktoś chyba musi

pierwszy ustąpić. Będzie nim najprawdopodobniej Binaisa.

WAŻNY TEST

Wyniki niedzielnych wyborów do Landtagu Północnej Nadrenii-Westfalii są przedmiotem licznych komentarzy. Nie dziwnego jest to przecież najludniejszy kraj Republiki Federalnej Niemiec. Wyborcy zaś byli to ostatnim ważnym testem

kończącej właśnie kampanii wyborczej do Landtagów. Jest to również dobry prognostyk dla nich przed wyborami do Bundestagu.

BURZLIWE DEMONSTRACJE

Dzięki telewizji każdego niemal dnia możemy obserwować burzliwe demonstracje młodzieży południowokoreańskiej. W Seulu i innych miastach studenckich i młodzież szkół średnich domaga się liberalizacji życia politycznego. Interweniuje policja i wojsko. Jest wielu rannych.

Ta nowa fala zamieszek ulicznych jest przejawem powszechnego protestu przeciwko obowiązuemu w Korei Południowej stanowi wyjątkowemu, który został tu wprowadzony w październiku ubiegłego roku po zabójstwie byłego dyktatora — Pak Dzong Hyl. Niedawno główne ugrupowanie opozycyjne — Nowa Partia Demokratyczna — wzywając prezydenta Chwae Kih Ha do natychmiastowego zniszczenia owego stanu wyjątkowego, był wniosek ma być przedmiotem głosowania w Zgromadzeniu Narodowym w najbliższym tygodniu. Oczywiście szanse na jego przyjęcie są nikłe, jako że nie posiada ona wystarczającej ilości głosów w parlamencie. Chyba, że opowie się za tym wnioskiem również część posłów rządzącej konserwatywnej Partii Demokratycznej. Niezależnie od tego opozycja domaga się zorganizowania nowych wyborów prezydenckich i parlamentarnych, a także szeregu reform społecznych. W sukurs opozycji przyszła, jak zawsze, młodzież szkół wyższych i średnich, która demonstruje masowo przeciwko rządowi karabinu i pałki.

Represje wobec młodzieży wzmagają jeszcze bardziej stan wzniecia. Zanoszą się na kolejny — jak ktoś to określił — wybuch gniewu społecznego. Wszystko to zaczyna, oczywiście, coraz bardziej niepokoić koła rządzące Waszyngtonu.

MIECZYSLAW CHAJA

My prawie nie mówimy o Niej. Każdy z nas unika tego słowa: Mama, Zosienka, Zona. Ciągłe czekamy, że Ona otworzy drzwi i wejdzie, tak jak co-dziennie wracała z pracy. Chodzę na cmentarz i nie mam tego wrażenia, że tam, pod tym płacem leży Zosia.

Jak to nie zaplanować nie można, zdawało się, że Ona mnie pochowa. Pochowała ojca, pochowała i mnie. Ciągłe mam to naciśnięcie, to niedociśnięcie. Ona wiedziała, że ze mną może być niedobrze. Często w nocy przychodziła do mnie, brała mnie za rękę, sprawdzała puls. Ja udawałam, że śpię, a Ona, że tylko tak sobie podchodzi. Wiedziała, że drzy o mnie. Często z pracy dzwoniła: „Babcu, jak się czujesz? No, szyć kartofelki na obiad”. Dzieci w szkole, zięć w pracy, niepokoiła się, bo byłam sama.

Przynosi się tabliczkę czekolady dziecku, to ja rozumie, ale nie raz nie przynosiła dzieciom nic, a ja sięle łóżko — u mnie pod poduszka czekolada.

Babcu, nie żałuj pieniędzy na takową jak idziesz do lekarza. Ja rzadko chodzę do lekarza. Byłam w Popiele — bo bardzo naciskali — to posłałam dopiero teraz. Doktor Roszkowska złożyła mi kondolencje i mówi: mi jeszcze takiego prawa, żeby lekarz przychodził do pacjenta. Jak Zosia żyła, było komu czuć, teraz musi pani sama zadbać o siebie.

Każdego coś boli, każdy jest przemęczony, ale to nie dowód, żeby się wziąć i zabrać. Nie może być normalne, żeby młodzi umierali przed starymi, a dzieci osierocali rodziców. To po co są ci rodzice, jeżeli w takich sytuacjach nie mogą pomóc?

Ona od dziecka była u nas Zosienką. Może dlatego, że było to dziecko z wielkiego uczucia, pierwsze i ogromnie oczekiwane. Chodziła do dziewczęcych klas, kiedy spotkała nas nieszczęście. Mąż dostał wylewu krwi, został sparaliżowany. Wiadomo było, że do pracy nie wróci. Sama wtedy zadecydowała: „Mamo, ty nie pracujesz, bądź nam trudno, ja mam jak najwyżej skończyć szkołę, kształcić bieżąco”. Elżbieta i Zosia przysięgły do Liceum Piętnastego. Ukończyły z wyróżnieniem i zaczęły pracować w Śniadeckim. Nie miała mieszkanie, mordowała się ogromnie, przysięgła, że do siebie znajomi męża, starsi państwa, wojewski. Pieniądzy nie chciała. „Ty, Zosienko, pomóż mi nam uprać, posprzątać, zrobić zakupy”.

Zdaje się, że to docent Dowgird ogłosił się dziwny, kiedy Zosia powiedziała, że odchodzi do szpitala MSW. „Czy tu ci źle?” — „Nie, ale mówię, że tam dostanę mieszkanie”. Naturalnie, że pozwolił jej odejść. „Ale ile razy będzie ci trudno — powiedział — przychodź do nas”.

I dostała to mieszkanie, na Fornalskiej we trzy zamieszkały. Niewiele mogliśmy jej pomóc. Przyjeździe, upiekę ciasto, babę ziemniaczaną, ugotuję garniek bigosu. — To będzieś miała, Zosienko, koleżanki poczęstuj.

W Śniadeckim zarabiała 700 zł, to trochę więcej. Mieszkanie opłacać, wyżyć się, na ubranie niewiele zostawało. Do dziś przechowuję jej wyjściową bluzeczkę. Biała bawełniana, ażurowa, ćwierćsportowa. Z moich nie było co przerabiać, nie nie zostało, w czasie działań wojennych byłymy spaleni.

Zdrowy ze zdrowym nie wytrzymuje, a z chorym trzeba z usmiechem, bez nerwów. „Nie, Mamo, lubię swoją pracę”. Mówiła, że nie chciały jej zmienić. Jesteś zadowolona, ty, jestem ja. Przyszła przez wszystkie prawdy gabinetu: i na chirurgii była, i na ginekologii. Zawsza wychodziła z bardzo dobrą opinią. 25 lat była pielęgniarką w MSW. Nieraz przychodziła do do-

mu szalenie zmęczona. „Taki mam zamęt w głowie. Tu radio, tu telefon jeden, drugi, w międzyczasie chodzę. Przez izbę przyjeżdżają musi przebiec. Nie wytrzymam”. — Wytrzymasz, Zosiu mówiłam. Wiesz w jakich warunkach pracowały siostry w czasie wojny? „To była wojna, teraz nie ma wojny”. — Sama podjęła się tej roboty. „Kiedy ja na robotę nie narzekam”.

Cały ostatni czas pracowała w pogotowiu. Gorąco, w ścianach przewidywało kaloryferowe. Tak ja ten upał męczył. „Ja tego gorąca nie wytrzymam”, mówiła. Otworzy okno — an-gina.

Pracowała na trzy zmiany, mogłaby na jedną, ale wtedy nie miałaby wolnych dni. Ona uważa, że jak przyjdzie po-

Jak ja pobylał może ze trzy, może z sześć miesięcy na Kraszewskiego, to często płakałam ze szczęścia, że nie dźwigałam wody, węgla, nie wstałam z czwartku. Wprost raj się przede mną otworzył: kaloryfery, gorąca woda. I mąż stał się innym człowiekiem, poweselał. Czuli się bezpiecznie, wszystko na miejscu, lekarz czy, nie daj Bóg, pogrzeb, jesteśmy razem, a że ciasto, to nie szkodzi. Więc ja do dziś myślę, czy dużo jest takich dzieci, które biorą rodziców do siebie.

Było nas sześciu w dwu pokojach. Dziadek rozejrzał się: „Romek — powiedział do zięcia — może my nie doczekamy, ja umrę, babka umrze, ale wam zostanie, złóż podanie o większe mieszkanie”. Ależ, Dziadku, ledwo żeśmy to do-stali”.

Kto następny, Mamo

nocy i ma wolny dzień, to jest bardzo wygrana, bo pranie robi, posprząta, ugotuje. Ale nie brała pod uwagę tego, że nie ma osiemnastu lat, że to już nie do zdrowia.

Mąż był zawiadowcą stacji, mieszkaliśmy w Sokołach. Zosia przysięgła chłopca. „My się chcemy pobrać”. — No to się pobierajcie. — A wy wiecie, ile kilo chleba kosztuje? Zosia: „ja wiem”, on: „ja to nie wiem”. Jak będziecie wiedzieć, to będziecie szanować pracę.

Wzięło pobrało się dwoje go-lych. On też niewiele zarabiał. Skończył Technikum Budowlane w Gdańsku, pracował w przedsiębiorstwie, potem przeszedł do magistratu. Cichy, szanowany, do dziś jest na tej posadzie.

Założyli rodzinę, zamieszkali w chałupce na Bema. W skromnych warunkach, ale w każdym kącie czystość. Zapisali się do spółdzielni, przeprowadzili się na Kraszewskiego. Dwa pokoje, kuchnia, przedpokój, łazienka, piwnica. Szczegół ich nie miało granic.

Dzisiaj w cenie jest każda babka, każda ciotka, ale żeby rodziców przyjąć do siebie, rzadko się spotyka. Jakos zawsze za ciężko.

Właśnie w tym czasie pogorszył się stan zdrowia męża. Z sił opadał, dostał zawalu. „Nam z pracy urlopu na dojazd nie dają, a odwieźć nas trzeba. Pojedziemy do Białegostoku. Pomieścimy się jakoś”. Byłam zadowolona, że ta propozycja wyszła od Niej.

Wszystko, co można sprzedać, „Mamo, zostaw tylko to, do czego najbardziej jesteś przywiązana”. Bo nie było gdzie postawić.

pracowitość, systematyczność, roztrzęsienie, powściągliwość. Aby właściwie wychować nasze pociechy nie wystarczy zapewnić im dostatek, ubrać i wyżywić, trzeba jeszcze wiedzieć w nich nasze własne wady i starać się je eliminować.

Należę do tych ludzi, którym nigdy nie łatwo nie przychodziło. Szedłem na egzamin, nauczyłem się prawie całego materiału, nie przerobiłem tylko dwóch ostatnich wykładów, tylko dwóch! I właśnie egzaminator trafił na te najbardziej trudne miejsca. Zresztą dość wcześnie, jeszcze na robotach przymuszonych w Niemczech życie przetrzeptało mi skórę i nauczyło. Sam w sobie widzę wiele wad, lecz nie rozkładam beznadziejnie rąk, nie narzekam i nie zloszczę.

Należę do tego pokolenia, które ze względu na wiek nie miało szans walczyć o wolność Ojczyzny, bowiem, gdy wybuchła wojna miałem 5 lat, 5 miesięcy i 21 dni, a gdy się skończyła 10 lat i 11 miesięcy. Zawsze byłem za młody; za młody by w czasie wojny walczyć z okupantem, a zaraz po wyzwoleniu za młody, by własnym trudem i pracą odbudowywać sponiewierany przez wojnę kraj. Mnie i moim rówieśnikom kazano się wziąć za naukę. Zazdrościłem starszym, że walczyli, że mają tytuł medali, że teraz mogą aktywnie walczyć się do dzieła, tworzenia i często wśród rówieśników zastana-wialiśmy się czy zostanie coś dla nas do zrobienia, jeżeli wszyscy dorosli Polacy z takim entuzjazmem będą pracować.

Udał się nam syn (jak na razie). Będzie miał lepszy start niż ja. Niech rośnie, rozwija się narodzić na chwałę, a nam rodzicom na pociechę. Okazuje się bowiem, że własnie i mądre wychowanie dziecka jest bardzo trudnym i niezwykle odpowiedzialnym zadaniem. Żadna sztuka zrobić dziecko — wulgarnie mówiąc — lecz ukształtować w nim takie nawyki, które mogą się przysłużyć społeczeństwu, a więc

jej sprawa, jeżeli ktoś się nie zgadza, to nie trzeba było je-chać. Tak wtedy płakała i przysięgała: „Mamo, nie wy-ciągnę ręki, więcej nie wy-ciągnę ręki do nikogo”. — Zosienko, mówila, nie patrz na tych, którzy źle robią, bo to się kiedyś zemści. Patrz na tych, co dobrze robią. To by-ły słowa nieboszczyka męża.

Nie była przystosowana do rzeczywistości, nie znosiła kompromisów, sytuacji, które ujmują godności ludzkiej. Co-kolwiek by się nie stało, bar-dzo przeżywała, obchodzili ją te sprawy, które powinny obchodzić każdego człowieka. Często mówiła: „Czy to już tak zawsze będzie? Takie rozluźnione stosunki między ludźmi”. Zosiu, kto dzisiaj ma czas, popatrz, że spotyka-my się tylko na pogrzebach, wtedy każdy jakos urwie kilka godzin, bo to o-statnie spotkanie. Kto ma czas na życie towarzyskie, kto dziś ma czas...

Od dwóch lat przestała pić kawę, Papierosy palila. Nie może człowiek szerzej otwo-rzyć gęby, to zatyka papiero-sem. Ale gdzieś się to wszy-sko gromadzi, układa w ja-kieś supelki, węzełki, krążenie wysiada, nerwy odmawiają posłuszeństwa. Szarpała się, nie miała gdzie uciec w swo-

jej niemocy, do wielu sytuacji nie mogła się przystosować. — To dobrze, Zosiu, żeś się buntowała, żeś miała swoje zdanie, bo inni przechodzą o-bok.

Tyle śmierci przeżyła, z techniką reanimacji była ob-znajomiona, a tak się jej bała. Nieraz lekarze zebrał i mów-ił, że wyjdzie, że siła nacisku pobudzi serce do życia. „Ma-mo, żeby tylko mieć śmierć bez reanimacji”. I nie było jej to dane, nie było jej to dane...

Czy się skarżyła? Tak jak każda kobieta. Widzę, że źle się czuje, jest poirytowana: — Zosienko, dlaczego nie pój-dziesz do doktora, przecież jesteś między nimi. Krepujesz się, weź 150 złotych, idź do spółdzielni. Ona: „chciałabym, żebyś mogła założyć czapkę niewidkę i usłyszeć: — pani Zosiu, pani jest okazem zdro-wia, pani choroba, to moje zdrowie”. I nie nie wypadło, tylko wierzyć.

Przystojna była, postawna, zawsze zyciwa, chociaż zmie-zniona usmiechnięta, mimo tu-szy zwinna, lekka na nogach, to może i wyglądała na okaz zdrowia.

W najlepszym zdrowiu zjad-ła kolację i mówi: „No, cóż, to obejrzyj film”. O dwu-dziesiąt pierwszej był lekarz, „Nie wytrzymam tego, boli, nie wytrzymam” — trzymała się pod pierś. Ja wiedzia-łam, że nie jest dobrze, ale nie wiedziałam, że aż tak. Wiem jak boli serce: nadcho-dzi kryzys, to ja po prostu czuję puste rękawy.

— Chyba pojedziemy do szpitala, pan doktor z Basu-nią sprowadzili ją pod rękę. Jeszcze się troskała jak ją położyli: „Przecież na to łóż-ko jutro ma przyjść pan ma-

gister, ono jest zarezerwowa-ne”. Nie odstępował jej, je-den doktor, drugi na zmianę. Podobno o piętej rano dosta-ła morfinę. O trzynastej zega-niała się z Basunią: tylko Babcu nie mów, że mam za-wal”. O czternastej już na sygnale przewieźli ją do PSK, a o siedemnastej nie żyła. Za-szytko to wszystko było, sta-nowczo za szybko. Rozległy za-wał miała, cała tylna komora zajęta.

Jeszcze z jednym z lekarzy nie rozmawiałam, bo właści-wie o czym, teraz nie ma to już żadnego sensu. Ranga pielęgniarki w dal-szym ciągu nie jest u nas ta-ka, jaka jej się należy. Zosienka spotykała się w pogo-towiu z różnymi szukanami: „Ty, cholero, ja tu dzwonię, a ty spisz”. Albo przyjeżdża do domu na zastrzyk, a tu: „Ja ci pokażę, ty wiesz, kto ja jestem!” Ileż ona tych pięter w życiu schodziła, ile scho-dów przeszła. Wyjątkowa rzecz, żeby zmęczonej ktoś podał szklankę herbaty.

Tylko piętnastego maja przychodziła obławowana kwiatami. „A giosra pamię-ta, jak mnie siostra przyjmowa-ła, jak nie myślałam, że wyjdę, a siostra mówi, że jesz-cze się spotkamy”. W imieni-ny to miała dużo dowodów pamięci.

Nie ma ludzi niezastapio-nych, ale takiej pracownicy jak Zosienka nie będą mieć. To nie pycha przeze mnie przemawia — proszę spytać panią doktor Bystrowską, Smolską, Modelewską — one razem dyżurowały w pogoto-wiu. Z doktorem Baranowskim też, z doktorem Biedzińskim pracowała, z doktorem Kraw-cukiem, Jarychem, Kozickim, Hryckiem. I doktor Ciechan-mo powiedział i Chwieros, ordynator Orlifurk. Z kierow-kami setki razy wyjeżdżała, wszyscy potwierdzają jej pro-stolinność, otwartość, zyczli-wość i sumiennność. Mężem zaufania była w szpitalu.

Wczoraj była, dziś nie ma. Każdy się pytał, czy to napra-wdę, czy naprawdę pani Zosia nie żyje? Telefon się urywał i pogrzeb o tym świadczył, szalenie dużo ludzi było.

Już po pogrzebie Basunia stała na przystanku, podcho-dziła nieznajoma: „Do Mamy jedziesz?” Pani Warakomska, Basunia nauczycielka z pod-stawówki, okazała bezinteres-owną zyczliwość, pani Turc-ka, wychowawczyni z Liceum, złożyła wizytę.

Warto być prawym czło-wiekiem, ludzie to pamiętają. Gdyby można było wszystko odmienić, nie chciałabym, że-by Zosienka była inna. „Bab-ciu, jak gdzieś spotkasz nie-drogię siostrę, to kup”. Jej ko-leżance, samotnej z dziećmi, niełatwo było wiązać koniec z końcem. „Uszyj jej firanki”. Do tej pory tego nie zrobiłam, ale pamiętam, bo jeśli mnie o coś prosiła, to uważała, że tak powinno być.

O czego mam się odwo-lywać? Tylko do roboty, do obowiązków. Pierw-sza rzecz — to poszanowanie obowiązków. Jeśli człowiek sam nie robi, to nikt za nie-go nie robi. „Szaniujcie to, czego was babka uczy — mó-wię do wnuczki. Przyjmujcie cechy matki: jej wrażliwość, cierpliwość, pracowitość. Czy ona zalała się kiedy, że ma dużo roboty? Nigdy”.

Dwie miałam córki, więcej dzieci nie było, po prostu nie było. Jak to jest — jeden chce to nie ma, a drugi traci, bo za dużo. Elżunia przyje-dza z Otwocka, dzwoni, trosz-czy się o Basunię maturo, O-ne tak się kochały z Zosienką, siostrzaną miłością.

IRENA BIERNACKA



„Kariera Nikodema Dyzy” i...

IZABELA TROJANOW-SKA, aktorka warszawskiego Teatru „Syrena”. Zagrała o-bok Krzysztofa Chamca jedną z głównych ról w telewizyj-nym serialu „Strachy”.

Występuje w kilku przedstawie-niach w rodzinnym teatrze. Kreuje jedną z ról w obec-nie emitowanym na ekranach naszych telewizorów serialu „Kariera Nikodema Dyzy”. Ostatnio, z dużym powodze-niem próbuje swoich sił jako piosenkarka.

— Wróć do „Strachów”. Jest już po wszystkim, serial obejrżeli widzowie, wyppo-wiedzieli się krytycy. Jak Pa-ni ocenia z perspektywy swo-ją rolę w tym filmie?

Trudno jest mi mówić o tym, ponieważ jako aktorka nie mogę z powodów zawodo-nych oceniać siebie obiektyw-nie. Patrzę raczej pod innym kątem — czy wyszło mi wszy-sko to, co zamierzałam.

— „Strachy” nie będąc w pełni filmem muzycznym no-si jednak wiele jego cech.

Czy zagrałaby Pani w przy-szości w prawdziwym musi-calu?

Chciałabym, żeby powstał u nas prawdziwy musical np. na wzór „Hair”, oparty na muzyce specjalnie na tę o-kaz napisanej, że wspania-ła obsada i w znakomitej re-żyserii.

— Profil takiego spektaklu jest w dużej mierze realizo-wany w „Syrenie”, gdzie ak-tor śpiewający i tańczący czu-je się bardziej potrzebny?

Rzeczywiście w „Syrenie” tacy aktorzy są bardziej wy-korzystywani niż gdziekolwiek indziej. Jednak chyba nie w pełni, gdyż do tej pory wy-stawiane były tu kabarety. W planach nasz dyrektor ma jed-nak prawdziwy musical.

— Pytanie trochę przekor-ne: czy zrezygnowałaby Pani z występów w „Syrenie” na rzecz Teatru Dramatycznego? Bardzo chciałabym wystą-pić w przyszłości w innym

repertuarze. Mogłabym się w nim nie sprawdzić, ale mimo to chciałabym spróbować.

— Wobec tego, jakie role marzą się pani?

Chyba rola charakterystycz-na. Już w emitowanym obec-nie na ekranach telewizorów serialu „Kariera Nikodema Dyzy” próbowałam zrobić to, co chciałam zrobić w przyszłości. Postać Kasi jest zupełnie różna od Teresy Si-korzanek ze „Strachów”.

— „Kariera Nikodema Dy-zy” i co dalej?

Obecnie zaangażowałam się do Warszawskiego Towarzy-stwa Muzycznego, gdzie będę recytowała poematy z okresu Młodej Polski. Próbuję swoich sił także w piosence. A poza tym gram w dwóch spektak-lach w rodzinnym Teatrze „Syrena”.

Rozmawiała IZA WOJCIEKOWSKA Zdjęcia CAF — ANDRZEJ RYBCZYŃSKI



Sezon jeździecki już rozpoczęty. CAF — Eugeniusz Wołoszczuk

c.d. ze str. 1

patrzmy na co dzień w tram-waju, autobusie, w pociągu czy sklepie, stanowiąmy ro-dzinę zagryzających. Nawet w blokach nie znamy swoich są-siadów, często potrzebujących naszej pomocy. „Co mi tam — jak niektórzy mawiają — niech on się martwi jak wyjęć z opresji. Ja mam swoje proble-my”.

Jestem w tej chwili z siebie zadowolony, może nie na czwor-ko, lecz na mocną trój-czynę. Mam rodzinę, własne mieszkanie, telewizor, pralkę automatyczną, lodówkę, mag-neton, radio — przedmioty, których nie mogli i nie mieli moi rodzice. Dzięki właśnie rodzicom i państwu osiągną-łem już sporo, — lecz przecież jeszcze żyję, moja żona też, mamy już dla kogo pracować; dwunastoletniego syna i po-winniśmy osiągnąć jeszcze więcej. Inni już jedzą samo-chodzi, a ja przez pięć lat okładałem na malucha i też będzie jeździł. Należę do tego rodzaju ludzi, którym nigdy i nie łatwo nie przychodziło.

Udał się nam syn (jak na razie). Będzie miał lepszy start niż ja. Niech rośnie, roz-wija się narodzić na chwałę, a nam rodzicom na pociechę. Okazuje się bowiem, że własnie i mądre wychowanie dziecka jest bardzo trudnym i niezwykle odpowiedzialnym zadaniem. Żadna sztuka zrobić dziecko — wulgarnie mówiąc — lecz ukształtować w nim takie nawyki, które mogą się przysłużyć społeczeństwu, a więc

pracowitość, systematyczność, roztrzęsienie, powściągliwość. Aby właściwie wychować nasze pociechy nie wystarczy zapewnić im dostatek, ubrać i wyżywić, trzeba jeszcze wiedzieć w nich nasze własne wady i starać się je eliminować.

Należę do tych ludzi, którym nigdy nie łatwo nie przychodziło. Szedłem na egzamin, nauczyłem się prawie całego materiału, nie przerobiłem tylko dwóch ostatnich wykładów, tylko dwóch! I właśnie egzaminator trafił na te najbardziej trudne miejsca. Zresztą dość wcześnie, jeszcze na robotach przymuszonych w Niemczech życie przetrzeptało mi skórę i nauczyło. Sam w sobie widzę wiele wad, lecz nie rozkładam beznadziejnie rąk, nie narzekam i nie zloszczę.

Należę do tego pokolenia, które ze względu na wiek nie miało szans walczyć o wolność Ojczyzny, bowiem, gdy wybuchła wojna miałem 5 lat, 5 miesięcy i 21 dni, a gdy się skończyła 10 lat i 11 miesięcy. Zawsze byłem za młody; za młody by w czasie wojny walczyć z okupantem, a zaraz po wyzwoleniu za młody, by własnym trudem i pracą odbudowywać sponiewierany przez wojnę kraj. Mnie i moim rówieśnikom kazano się wziąć za naukę. Zazdrościłem starszym, że walczyli, że mają tytuł medali, że teraz mogą aktywnie walczyć się do dzieła, tworzenia i często wśród rówieśników zastana-wialiśmy się czy zostanie coś dla nas do zrobienia, jeżeli wszyscy dorosli Polacy z takim entuzjazmem będą pracować.

Udał się nam syn (jak na razie). Będzie miał lepszy start niż ja. Niech rośnie, rozwija się narodzić na chwałę, a nam rodzicom na pociechę. Okazuje się bowiem, że własnie i mądre wychowanie dziecka jest bardzo trudnym i niezwykle odpowiedzialnym zadaniem. Żadna sztuka zrobić dziecko — wulgarnie mówiąc — lecz ukształtować w nim takie nawyki, które mogą się przysłużyć społeczeństwu, a więc

pracowitość, systematyczność, roztrzęsienie, powściągliwość. Aby właściwie wychować nasze pociechy nie wystarczy zapewnić im dostatek, ubrać i wyżywić, trzeba jeszcze wiedzieć w nich nasze własne wady i starać się je eliminować.

Należę do tych ludzi, którym nigdy nie łatwo nie przychodziło. Szedłem na egzamin, nauczyłem się prawie całego materiału, nie przerobiłem tylko dwóch ostatnich wykładów, tylko dwóch! I właśnie egzaminator trafił na te najbardziej trudne miejsca. Zresztą dość wcześnie, jeszcze na robotach przymuszonych w Niemczech życie przetrzeptało mi skórę i nauczyło. Sam w sobie widzę wiele wad, lecz nie rozkładam beznadziejnie rąk, nie narzekam i nie zloszczę.

Należę do tego pokolenia, które ze względu na wiek nie miało szans walczyć o wolność Ojczyzny, bowiem, gdy wybuchła wojna miałem 5 lat, 5 miesięcy i 21 dni, a gdy się skończyła 10 lat i 11 miesięcy. Zawsze byłem za młody; za młody by w czasie wojny walczyć z okupantem, a zaraz po wyzwoleniu za młody, by własnym trudem i pracą odbudowywać sponiewierany przez wojnę kraj. Mnie i moim rówieśnikom kazano się wziąć za naukę. Zazdrościłem starszym, że walczyli, że mają tytuł medali, że teraz mogą aktywnie walczyć się do dzieła, tworzenia i często wśród rówieśników zastana-wialiśmy się czy zostanie coś dla nas do zrobienia, jeżeli wszyscy dorosli Polacy z takim entuzjazmem będą pracować.

Udał się nam syn (jak na razie). Będzie miał lepszy start niż ja. Niech rośnie, rozwija się narodzić na chwałę, a nam rodzicom na pociechę. Okazuje się bowiem, że własnie i mądre wychowanie dziecka jest bardzo trudnym i niezwykle odpowiedzialnym zadaniem. Żadna sztuka zrobić dziecko — wulgarnie mówiąc — lecz ukształtować w nim takie nawyki, które mogą się przysłużyć społeczeństwu, a więc

pracowitość, systematyczność, roztrzęsienie, powściągliwość. Aby właściwie wychować nasze pociechy nie wystarczy zapewnić im dostatek, ubrać i wyżywić, trzeba jeszcze wiedzieć w nich nasze własne wady i starać się je eliminować.

Należę do tych ludzi, którym nigdy nie łatwo nie przychodziło. Szedłem na egzamin, nauczyłem się prawie całego materiału, nie przerobiłem tylko dwóch ostatnich wykładów, tylko dwóch! I właśnie egzaminator trafił na te najbardziej trudne miejsca. Zresztą dość wcześnie, jeszcze na robotach przymuszonych w Niemczech życie przetrzeptało mi skórę i nauczyło. Sam w sobie widzę wiele wad, lecz nie rozkładam beznadziejnie rąk, nie narzekam i nie zloszczę.

Należę do tego pokolenia, które ze względu na wiek nie miało szans walczyć o wolność Ojczyzny, bowiem, gdy wybuchła wojna miałem 5 lat, 5 miesięcy i 21 dni, a gdy się skończyła 10 lat i 11 miesięcy. Zawsze byłem za młody; za młody by w czasie wojny walczyć z okupantem, a zaraz po wyzwoleniu za młody, by własnym trudem i pracą odbudowywać sponiewierany przez wojnę kraj. Mnie i moim rówieśnikom kazano się wziąć za naukę. Zazdrościłem starszym, że walczyli, że mają tytuł medali, że teraz mogą aktywnie walczyć się do dzieła, tworzenia i często wśród rówieśników zastana-wialiśmy się czy zostanie coś dla nas do zrobienia, jeżeli wszyscy dorosli Polacy z takim entuzjazmem będą pracować.

Udał się nam syn (jak na razie). Będzie miał lepszy start niż ja. Niech rośnie, rozwija się narodzić na chwałę, a nam rodzicom na pociechę. Okazuje się bowiem, że własnie i mądre wychowanie dziecka jest bardzo trudnym i niezwykle odpowiedzialnym zadaniem. Żadna sztuka zrobić dziecko — wulgarnie mówiąc — lecz ukształtować w nim takie nawyki, które mogą się przysłużyć społeczeństwu, a więc

pracowitość, systematyczność, roztrzęsienie, powściągliwość. Aby właściwie wychować nasze pociechy nie wystarczy zapewnić im dostatek, ubrać i wyżywić, trzeba jeszcze wiedzieć w nich nasze własne wady i starać się je eliminować.

Należę do tych ludzi, którym nigdy nie łatwo nie przychodziło. Szedłem na egzamin, nauczyłem się prawie całego materiału, nie przerobiłem tylko dwóch ostatnich wykładów, tylko dwóch! I właśnie egzaminator trafił na te najbardziej trudne miejsca. Zresztą dość wcześnie, jeszcze na robotach przymuszonych w Niemczech życie przetrzeptało mi skórę i nauczyło. Sam w sobie widzę wiele wad, lecz nie rozkładam beznadziejnie rąk, nie narzekam i nie zloszczę.

Należę do tego pokolenia, które ze względu na wiek nie miało szans walczyć o wolność Ojczyzny, bowiem, gdy wybuchła wojna miałem 5 lat, 5 miesięcy i 21 dni, a gdy się skończyła 10 lat i 11 miesięcy. Zawsze byłem za młody; za młody by w czasie wojny walczyć z okupantem, a zaraz po wyzwoleniu za młody, by własnym trudem i pracą odbudowywać sponiewierany przez wojnę kraj. Mnie i moim rówieśnikom kazano się wziąć za naukę. Zazdrościłem starszym, że walczyli, że mają tytuł medali, że teraz mogą aktywnie walczyć się do dzieła, tworzenia i często wśród rówieśników zastana-wialiśmy się czy zostanie coś dla nas do zrobienia, jeżeli wszyscy dorosli Polacy z takim entuzjazmem będą pracować.

Udał się nam syn (jak na razie). Będzie miał lepszy start niż ja. Niech rośnie, rozwija się narodzić na chwałę, a nam rodzicom na pociechę. Okazuje się bowiem, że własnie i mądre wychowanie dziecka jest bardzo trudnym i niezwykle odpowiedzialnym zadaniem. Żadna sztuka zrobić dziecko — wulgarnie mówiąc — lecz ukształtować w nim takie nawyki, które mogą się przysłużyć społeczeństwu, a więc

pracowitość, systematyczność, roztrzęsienie, powściągliwość. Aby właściwie wychować nasze pociechy nie wystarczy zapewnić im dostatek, ubrać i wyżywić, trzeba jeszcze wiedzieć w nich nasze własne wady i starać się je eliminować.

Należę do tych ludzi, którym nigdy nie łatwo nie przychodziło. Szedłem na egzamin, nauczyłem się prawie całego materiału, nie przerobiłem tylko dwóch ostatnich wykładów, tylko dwóch! I właśnie egzaminator trafił na te najbardziej trudne miejsca. Zresztą dość wcześnie, jeszcze na robotach przymuszonych w Niemczech życie przetrzeptało mi skórę i nauczyło. Sam w sobie widzę wiele wad, lecz nie rozkładam beznadziejnie rąk, nie narzekam i nie zloszczę.

Należę do tego pokolenia, które ze względu na wiek nie miało szans walczyć o wolność Ojczyzny, bowiem, gdy wybuchła wojna miałem 5 lat, 5 miesięcy i 21 dni, a gdy się skończyła 10 lat i 11 miesięcy. Zawsze byłem za młody; za młody by w czasie wojny walczyć z okupantem, a zaraz po wyzwoleniu za młody, by własnym trudem i pracą odbudowywać sponiewierany przez wojnę kraj. Mnie i moim rówieśnikom kazano się wziąć za naukę. Zazdrościłem starszym, że walczyli, że mają tytuł medali, że teraz mogą aktywnie walczyć się do dzieła, tworzenia i często wśród rówieśników zastana-wialiśmy się czy zostanie coś dla nas do zrobienia, jeżeli wszyscy dorosli Polacy z takim entuzjazmem będą pracować.

Udał się nam syn (jak na razie). Będzie miał lepszy start niż ja. Niech rośnie, rozwija się narodzić na chwałę, a nam rodzicom na pociechę. Okazuje się bowiem, że własnie i mądre wychowanie dziecka jest bardzo trudnym i niezwykle odpowiedzialnym zadaniem. Żadna sztuka zrobić dziecko — wulgarnie mówiąc — lecz ukształtować w nim takie nawyki, które mogą się przysłużyć społeczeństwu, a więc

pracowitość, systematyczność, roztrzęsienie, powściągliwość. Aby właściwie wychować nasze pociechy nie wystarczy zapewnić im dostatek, ubrać i wyżywić, trzeba jeszcze wiedzieć w nich nasze własne wady i starać się je eliminować.

Należę do tych ludzi, którym nigdy nie łatwo nie przychodziło. Szedłem na egzamin, nauczyłem się prawie całego materiału, nie przerobiłem tylko dwóch ostatnich wykładów, tylko dwóch! I właśnie egzaminator trafił na te najbardziej trudne miejsca. Zresztą dość wcześnie, jeszcze na robotach przymuszonych w Niemczech życie przetrzeptało mi skórę i nauczyło. Sam w sobie widzę wiele wad, lecz nie rozkładam beznadziejnie rąk, nie narzekam i nie zloszczę.

Należę do tego pokolenia, które ze względu na wiek nie miało szans walczyć o wolność Ojczyzny, bowiem, gdy wybuchła wojna miałem 5 lat, 5 miesięcy i 21 dni, a gdy się skończyła 10 lat i 11 miesięcy. Zawsze byłem za młody; za młody by w czasie wojny walczyć z okupantem, a zaraz po wyzwoleniu za młody, by własnym trudem i pracą odbudowywać sponiewierany przez wojnę kraj. Mnie i moim rówieśnikom kazano się wziąć za naukę. Zazdrościłem starszym, że walczyli, że mają tytuł medali, że teraz mogą aktywnie walczyć się do dzieła, tworzenia i często wśród rówieśników zastana-wialiśmy się czy zostanie coś dla nas do zrobienia, jeżeli wszyscy dorosli Polacy z takim entuzjazmem będą pracować.

Udał się nam syn (jak na razie). Będzie miał lepszy start niż ja. Niech rośnie, rozwija się narodzić na chwałę, a nam rodzicom na pociechę. Okazuje się bowiem, że własnie i mądre wychowanie dziecka jest bardzo trudnym i niezwykle odpowiedzialnym zadaniem. Żadna sztuka zrobić dziecko — wulgarnie mówiąc — lecz ukształtować w nim takie nawyki, które mogą się przysłużyć społeczeństwu, a więc

Wszystko

Tymczasem od zakończenia II wojny światowej nie było jeszcze dnia, w którym panowa-łyby na świecie całkowite walby na 133 wojny toczące w tym okresie na terytorium 70 krajów, z udziałem sił zbroj-nych 8

Elibieta Gulanowska pokazuje mi plik papierów z pieczętami różnych instytucji. Sąd Rejonowy w Grawejie, Kolegium ds. Wykroczeń przy naczelniku miasta i gminy, Wojewódzka Komisja Własności przy wojewodzie łomżyńskim, Sąd Wojewódzki, Prokuratura... Skargi, jeden wyrok, dwa odwołania, rewizje. Owocem kilkuletnich poszukiwań sprawiedliwości, jak sama twierdzi.

Jest rozstrzęsiona. Brat nie daje jej i matce po prostu żyć, uniemożliwia prowadzenie gospodarstwa, niszczy wszystko. Posprzedał inwentarz, narzędzia, maszyny rolnicze. Do ruiny doprowadził cały majątek, przeszło 28 hektarów ziemi. Matka już nerwowo nie wytrzyma.

W Szymanach, kogokolwiek nie zapytał, każdy zna historię rodziny Gulanowskich. Przeżyli ludzie lata, pokolenia mijają, a czegoś podobnego nie słyszano. Straszne rzeczy. Gulanowski już tyle spraw w sądzie miał, że i rachunki się pomieszały. Nawet największe plotkarki we wsi o tym gadać nie chcą, bo to żadna nowina. Wielkie rzeczy — u Gulanowskich się kłóci! Toć od przeszło pięciu lat słychać stamtąd krzyki i lamenty.

Pytani o istotę konfliktu, mieszkający wsi wiedzą tylko tyle, że chodzi o ziemię. Sądzą się. Matka z synem. Wszystko stracili na sądy, adwokatów. Przez dwa lata pole leżało odłogiem. W końcu z gminy przyjechali, starsza Gulanowska przetrząsnęła, że mogą zabrać i ściągnęła spod Gdańska zięcia. Miałowy? — dziwna się we wsi — czy taki porażki na ziemi? I czy to sprawiedliwe, skoro syn z żoną ściana kawał życia na skibach zostawił?

W mentalności wiejskiej taki sposób postępowania nie zyskuje aprobaty. Bo jakże to? Jeśli ktoś na ziemi pracował, to mu się coś należy. Gospodarstwo przecież obrabiał syn, Leon. Pewnie, że i córka, to znaczy jego siostra pomagała, ale wiadomo, że na

Nienawiść

tylu hektarach same kobiety nie poradzą.

Matka jest winna — słyszę oburzone głosy. Dostaje po mężu rentę — 1300 zł i czego jej więcej trzeba? Niechby teraz dzieci rządziły. A ona, podobno sama pieniądze zbierała na księżkę. Leon zaczął się buntować. Stąd cała awantura. Bo i prawda, do pięćdziesiątki mu leciało, a nie swego nie miał i jeszcze we wsi niejednym mu przysądzało z tego powodu. Doszło do kłótni. A jak zaczęły się spory, to ani matka z córką, ani on nie ustąpił, choćby mieli na sądy oddać wszystko. I tak się stało. Dzisiaj po mleko chodzą do sąsiadów, aż wstyd, bo na wsi to nie uchodzi, zwłaszcza takim gospodarzom jak oni byli.

Taka gospodarke zmarłowa? W okolicy mało kto im dorównywał — wspomina sołtys. W rodzinne spory nie będzie się wdawał — z góry zastrzegę — bo to nie moja rzecz. Które z nich bardziej winne, trudno powiedzieć. Ale jedno pewne: niezgodą doprowadziła ich do ruiny. Niczego im nie brakowało. Po sto litrów mleka dziennie odwodzili do mleczarni. Konie, świnię, pierwszorzędny dobytek. Sad, łąki. Wszystko na marne poszło. Cały trud.

We wsi nawał pracy. Wszędzie słychać pokrzykiwania. Niespodziewane ochłodzenie powstrzymało jedynie rolników przed wyjściem w pole. W przeciwnym razie kto by usiadł w domu? Jeden Leon Gulanowski, bo nie nie obraża — mówią gospodarze. Jak on wytrzyma w taki czas bez roboty? Przecież chociaż wychodził z koniem na zarobek, a teraz tkwi w chałupie. Sam po całych dnach. Zdzi-

waczal trochę. Ale czy można mu się dziwić? I czy sąd postąpił słusznie, przekazując całe gospodarstwo matce? Raczej nie.

Na podwórku Gulanowskich cicho, dom się wydaje opuszczony. Okna bez firanek. Od ulicy dwa pomieszczenia zajmują matka z córką. Jest tak, że zięć. Przyjechał na kilka dni. Wkrótce obejmie gospodarstwo. Wrocił właśnie z pola. Konia pożyczyci od sąsiadów.

— Sprowadzę się tutaj na stałe — wyjaśnia. Teściowa mnie o to prosiła, chcę wyprowadzić gospodarstwo na drogę. Kupię konia, krowę. Świągier musi ustąpić, nie do drogi. Teraz miejsce czotkowe zajmuje piec, kaflowy słupek przystawiony nie opodal ściany. Rury, które biegły gdzieś na zewnątrz — szpecą wygląd. Nieprzytulnie tutaj, obco.

Jedynym świadectwem niedawnej jeszcze zamożności są zdjęcia. Staruska wyciąga je z szafy, rozkłada na stole ze łzami w oczach. Zdjęcia są kolorowe. Pełnia lata. Dom toni w powodzi kwiatów, zieleni. Długa aleja prowadząca do ulicy obrastająca krzewy ozdobne, w sadzie — ule. Z drugiej strony, od podwórka — budynki gospodarcze: duża obora, stodoła. Sielskie krajobrazy. Tak było u nas — kiwa głową, spoglądając przez okno, gdzie widok jakże odmienny. Płot pochylili się świecące dziurami. Piec, klombach i rabatach pozostały tylko ślady.

Helena Gulanowska opowiada historię rodziny, chaotycznie przeskakując z jednego wydarzenia na drugie. Wyciąga na wierzch wszystko, co tylko może ponieść człowiek. Syn na nią wyzywał, przeklinał. Nie szczędził szczegółów. Żaluję, że córka pojechała do miasta; więcej by dorzuciła.

podsumowuje zięć Gulanowskiej. Czy on widzi możliwość porozumienia ze szwagrem? Raczej nie.

— To zły człowiek — wtrąca Helena Gulanowska. Tak, o własnym dziecku mówię. Od nowa musimy zaczynać. Nigdy mu nie przebaczę. Ty le, krzywdy... Matka, kobieta przeszła 70-letnią winę ze niezgodę zrzuciła na syna. Mówi cicho, ogłąda się, jest zalekioną. — Przez niego dostalam nerwicę — pochłupię. Siedzi w dużym pokoju, który przed kilku laty uchodził za parady. Wejście było od frontu, drzwi prowadziły na ogród. Teraz miejsce czotkowe zajmuje piec, kaflowy słupek przystawiony nie opodal ściany. Rury, które biegły gdzieś na zewnątrz — szpecą wygląd. Nieprzytulnie tutaj, obco.

Jedynym świadectwem niedawnej jeszcze zamożności są zdjęcia. Staruska wyciąga je z szafy, rozkłada na stole ze łzami w oczach. Zdjęcia są kolorowe. Pełnia lata. Dom toni w powodzi kwiatów, zieleni. Długa aleja prowadząca do ulicy obrastająca krzewy ozdobne, w sadzie — ule. Z drugiej strony, od podwórka — budynki gospodarcze: duża obora, stodoła. Sielskie krajobrazy. Tak było u nas — kiwa głową, spoglądając przez okno, gdzie widok jakże odmienny. Płot pochylili się świecące dziurami. Piec, klombach i rabatach pozostały tylko ślady.

Helena Gulanowska opowiada historię rodziny, chaotycznie przeskakując z jednego wydarzenia na drugie. Wyciąga na wierzch wszystko, co tylko może ponieść człowiek. Syn na nią wyzywał, przeklinał. Nie szczędził szczegółów. Żaluję, że córka pojechała do miasta; więcej by dorzuciła.

W podobnym tonie słyszę opowieści po drugiej stronie domu, gdzie mieszka Leon Gulanowski. Odwrócone tym razem o sto osiemdziesiąt stopni. Bo Leon Gulanowski tłumaczy zaistniałą sytuację po swojemu. Kością niezgody była postawa matki. Matka widziała tylko potrzeby córek, choć one wcześniej ułożyły sobie życie. Więc nie mógł przystać na takie układy. Do ziemi był przywiązany, ciężko na niej pracował. Matka go skrzywdziła. Odebrała opinię.

— Ja chciałem zrobić dobre gospodarstwo, na poziomie, o czym się nagle. Zlikwidować trzode, pójść na specjalizację w bydło mleczne. Wtedy byłby dochód! I Konie bym posprzedał. O koniach może dużo opowiadać. Nagrody na konkursach zbierał za swoje ogiery. Za jednego wziął sześćdziesiąt tysięcy. To były licencyjne konie — podkreśla z dumą — na eksport szły. Została jeszcze klacz. Na razie jej nie sprzedaje, weselej na duszy, gdy popatrzy jak skubią na podwórku trawę.

Co będzie dalej robił? Wyjedzie. Chyba na Śląsk, do kopalni. Roboty się nie boi. Choć nie wie, jak zaczynać życie od nowa. Czy nie załóż gospodarstwa? — broda mu się zatrząsa, odwrócił głowę w bok. — Ale tutaj nie wypuszczę nikogo — powtarza z zaciekaniem. Mieszkanie zamknę na kłódki.

W uzasadnieniu wyroku Sądu Wojewódzkiego w Łomży czytamy: „Pozwany jest mężczyna w siłę wieku. Nie obarczony rodziną ma możliwość zorganizowania sobie innego zajęcia, nie musi pozostawać w gospodarstwie rolnym matki. Interes społeczno-gospodarczy sprzeciwia się dalszej kontynuacji istniejącego stanu rzeczy, gdyż konflikt między stronami hamują prawidłowy rozwój produkcji rolnej. Dlatego sprawą pilną jest usunięcie źródła sporu i tym samym umożliwienie powódce zadysponowania swoją własnością w sposób zgodny z jej interesem i z interesem społecznym”.

ALICJA ZIELIŃSKA

Świński Kociol (drugi przejazd)

1

KOLEJNE świętowanie, jakie wyprządło polskiemu sportowi, miało miejsce w — nomen omen — Świńskim Kotle, podczas marcowych mistrzostw Polski w narciarstwie alpejskim. Rzecz całą widzianą własnymi oczami i opisaną na tych łamach 22 marca. Byłem pierwszym polskim dziennikarzem, który napisał prawdę o tym świętństwie. Megalomania? Być może, ale mam na nią papier. Oto on.



Jacek Nikliński przed startem do bicia rekordu szybkości w zjazdzie. Fot. Stanisław Momot

O skandalu doniosła cała niemal nasza prasa, i cała niemal prasa napisała nieprawdę. Nawet taki wytrwały komentator jak Bohdan Tomaszewski dał się uwieść pozorom i stanął po stronie działaczy i trenerów, choć prawda leżała na zaśnieżonym tatrzańskim stoku wśród okupujących trasę zawodników. Bohdan Tomaszewski miał jednak odwagę napisać o swej pomyłce w kolejnym felietonie, zamieszczonym w „Kulturze” 20 kwietnia: „Muszę zrobić drugi energiczny krok po własnym felietonie sprzed paru tygodni, kiedy ostro oceniłem postępek grupy polskich slalomistów, którzy niezadowoleni z decyzji sędziów demonstracyjnie wycofali się z mistrzostw Polski dając dodatkowe przybiki niesportowego zachowania. Nie objąłem wówczas całosci sprawy. „Literatura” śmiało sięgnęła do źródeł zła i uczyniła to tak trąjnie, że odczułem dodatkowy doping, aby poprzeć ją, „Literatura”, w tej akcji”. Autor „Laurów i kółców” najfarszował swój felieton obfitymi cytacjami z reportażu Michała Botlikra „Slalom” i felietonu Rezerwowego J. S., zamieszczonych w numerze „Literatury” z dnia 3 kwietnia.

Teksty Botlikra, Rezerwowego i Tomaszewskiego to nierzeczywiste prawdy o tym wydarzeniu. Dlaczego? Gdy odpowiem: „bo wszystkich, którzy o tym pisali, wprowadziły do błąd władze Polskiego Związku Narciarskiego”, nie popełnię nadużycia, bo tak rzeczywiste było, a przebieg wydarzeń na stoku sugerował winę „zbuntowanych” zawodników, na których władze postanowiły zrzucić odpowiedzialność, nie tylko za ten skandal, ale i cały kryzys polskiego narciarstwa.

Ala niemożliwość PZN-u wobec narciarzy nie była jedyną przyczyną, dla której prasa dała się uwieść do mylnych. Nasi sportowcy (czyżby nie karze) zdążyli już przyzwyczaić prasę do tego, że są nieustannie stawiani pod pręgierzem tzu. opinii, a to za zdemolowanie lokali i pobieżne kienkierki oraz milicjantów, a to za rozchodzenie po pijanemu staruszka na przejściu dla pieszych a to za kradzież samochodu, a to za zeżłeczenie sędziów na boiskach itp. Zatem ulice były przepełnione wypadkami w Świńskim Kotle zaszufladkować i napiętnować. Dopiero uważna analiza przyczyn „strajku narciarzy” rozmowy ze zwaśnionymi stronami i umiarkowane formułowanie wniosków, to tak zwanym kontekście — mogły wyświecić światło barwne jakrawych nierzeczywistości na osiemnastym Kasprowym całym ten bezprecedensowy skandal, a co za tym idzie — przyczyny bezprecedensowego zła, jakie dzieje się od lat kilku w zaciszach gabinetów Polskiego Związku Narciarskiego oraz na trasach i skoczniach.

2

Mam satysfakcję. Oto kolejna megalomania, jakiej się tutaj dopuszczam. Ale jestem z siebie zadowolony i nie na to nie poradzę. Zadowolony jak dziennikarz, który się nie pomylił, i ma na to dowody. Otóż w połowie kwietnia pojechałem do Zakopanego, wiedziany trzema chęciami: chęcią startu w Mistrzostwach Polski Dziennikarzy, chęcią udziału w alpejskim Pucharze Polski i chęcią sprawdzenia na miejscu ustaleń, poczynionych w dalekiej od gór, białostockiej gazecie.

Półki o jest słoneczny dzień, 17 kwietnia. Na trasie Pucharu Polski juniorki i juniozów oraz czterech seniorów. Reszta wokół trasy, bo dyskwalifikowana po mistrzostwach. Zawody nie mają sensu, bo nie startuje w nich cała czołówka, łącznie z Maciejem Ciapkiem-Gasienią — głównym bohaterem skandalu. To on „złapał” tydzień między narty, czego „nie widzieli” sędziowie, a on się do tego nie przyznał przed komisją PZN, bo nie musiał. Jego kolezady zostali więc dyskwalifikowani najpierw do końca kwietnia 1980, a następnie — do końca roku 1980! Zarząd Główny PZN przetrząsnął się głosów kilku niefachowych pism — że kara na „niby, bo i tak się sezon kończy” i „na wszelki wypadek” przedłużył dyskwalifikację.

Maciej Ciapka, zapytany przeze mnie o przyczynę niebrania udziału w zawodach powiedział, że ma kontuzję, po czym przypisał narty i pokmknął do Kotła między tyczkami treningowego slalomu. Andrzej Roj-Gasienica, człowiek numer 1 i polski zjazdowiec, z którym oglądałem zawody stojąc cały dzień przy trasie także nie udeśliął złanego nie startuje Ciapka. Wiedział za to bardzo dobrze, dlaczego nie startują dyskwalifikowani „chulanki”. Opiniotwórcy też na ogaro umniejszali przyczynę zawodniczką informując mnie i przypadkowych słuchaczy z kono białych ludzi, a z kono nie będą. Jak się po chwili zorientowałem, ludzie mogli być tylko z Zakopaneczyków. Cała reszta utalentowanych junio-

arów miała się nie nadawać do sportu, do startów w kadry i zaprzeczonych wyjazdów ze względu na „nie urodzone wady”. „Brak talentu”, „tępotę”, „ustręt do haru”. Słowem, nie dawał im żadnych szans na złapanie kontaktu ze światową czołówką.

Nie dość jak u ubiegłym roku pozbawili tych szans, do spółki z trenerem polskiej kadry, Andrzejem Kozakiem, najlepszą polską narciarkę, Mariolę Michalską, odsuwając ją od startu w mistrzostwach świata, uważa: w kilka dni po wygraniu przez Michalską wszystkich konkurencji na mistrzostwach Polski, i to różnicą kilku sekund! Dlaczego? W Zakopanem mówią tylko jedno: że jest zawodniczką ROW-u Ustronie, a trenuje ją Paweł Kolaczek. Gdyby była zawodniczką z Zakopanego i trenowałby ją Zakopaniec, wszystko by grało, a dziewczynę nie zmarnowano by talentu w płaskich, jakże małych rozgrywkach, zawieszając i świętując.

3

Wydajmy na chwilę z narciarskiego bagna na narciarski szczyt — szlachetność, wiary, pasji i odwagi. Szczyt dostojny to Beskid (2012 m). Idzie się nań z Kasprowego 15 minut, z nartami na plecach. „Szczyt metaforyczny to trawający już od trzech lat swoisty protest song Jacka Niklińskiego, wyrywany basem polskiego narciarstwa na ich nosach. Nosy te jednak szybko zwichły charakter przedsięwzięcia Jacka, który postanowił się wdrzeć do światowej czołówki „szybkocioczków”, czyli narciarzy bijących rekordy prędkości. Nosy zagażały sprawy na samym początku prób i postanowiły zrobić wszystko, aby mu uniemożliwić zostanie Fibakiem polskich nart. Ale Jacek się uparł i dopił całą piętę: mając 1979 zjechał z Beskidu z szybkością 180,632 kilometra na godzinę. Rekord świata Amerykanina Steve'a McKinneya, uzyskany na trasie w Portillo w Chile, wynosił 200,222 km/godz. Wynik Jacka daje mu dziewięć miejsce wśród najszybszych narciarzy świata. I tu się zaczyna tragiczność i konieczność zarzecz tej „prywatnej sprawy Niklińskiego”, jak nazywają w Zakopanem jego trzyletnie zmaganie z Górą.

Przed dziewięć laty był świetnie zapowiadającym się juniorem. Na Mistrzostwach Europy zajął ósme miejsce, co było najlepszym wynikiem juniura w historii naszego narciarstwa. I nie potwierdzały to wielokrotne przykłady (ostatni z Michalską), został odsunięty od startów i zaprzeczonych wyjazdów. Przyczyna? Niezłyżak i upadek na trasie w Szczyrku zaczęto mówić o nim, że się boi jeździć na nartach. Ktoś miał się wtedy wyrazić: „z niego to nie nie będzie, bo to jest przecież a nie talent”. No i Nikliński znalazł się na lodzie — Beskid. Postanowił udowodnić trenerom i kolegom ze „sprac” nie boi się jeździć nartach i to na zjazdach w Polsce. Gdy inni depali sobie po nartach w kolejkach do wyciągów, on udeptywał samotnie, albo z Jurkiem Kuśniewskim, jego Rybowym kolegą i przyrodzonym trąsą z Beskidu. Trener AZS-u Zakopane i Kowalski zezwolił nie pomagać mu w tych przygotowaniach, ani nie pilić go co on chce robić. Podczas próby bicia rekordu, na szczyt Beskidu był tylko jego przyjaciel i ojciec duchowy, były olimpijczyk i kadeciński mistrz świata — Stefan Dziedzic. To on pomógł zatańczyć Niklińskiemu dziesiątki karbowych formalności i zabrał ze sobą międzynarodowych, okropnych, wojowniczkich i centralnych władz narciarskich. W Zakopanem Burze Notarialnym Nikliński zgłosił się sam i złożył takie oto oświadczenie: „W związku z próbą bicia rekordu szybkości Polski oświadczam, że jadę na własną odpowiedzialność i w wyniku jakiegokolwiek kontuzji nie będę rościł żadnych pretensji do Polskiego Związku Narciarskiego”. Oprócz jednej jake ma do PZN-u: że nie dał mu obieganego dyplomu. Dyplom byłby jedynym dokumentem na to, że PZN cokolwiek obawia, że po raz pierwszy w dziejach polskiego narciarstwa bije się rekordy szybkości.

Jakże by to miało obejmć PZN, skoro z ust działacza numer 1 usłyszałem, że w ten cały rekord on, działacz numer 1, po prostu nie wierzy. Co można do tego dodać? Wieloosobową komisję, fotokomórki, potwierdzenie w FIS-ie, oficjalne zaproszenie do Czerwini we Włoszech na międzynarodowe derby „demonów szybkości”, serwis firmy „Atomic”, skafander firmy „Marlene”, specjalne narty, wypożyczone Jackowi przez Steve'a McKinneya, specjalny kask zdobyty dla niego we Włoszech przez kolegów — zapasników. A także trzy sezony na Beskidzie, w samotnym i trochę szaleńczym uporze, od stycznia do maja, codziennie, gdy tylko pozwalała pogoda, ubijanie 1200-metrowej trasy, która musi mieć twardość betonu, dwa tysiące chorągiewek z papieru, którymi trasa musi być wytyczona. A także rozgłośnie pukanie się w ozła kolegów-narciarzy i kolegów-trenerów, popatrujących znad stolika na Kasprowym w kierunku Beskidu, gdzie wdrapuje się samotny mężczyzna, przypina narty, chwile trwa w bezruchu, potem siada w kućki i zjeżdża z szybkością spadającego jastrzębia. A także i to, że ma 25 lat, mieszka w Kuźnicach i broni w tym roku na krakowskim AWF-ie pracy magisterskiej o temacie „Organizacja i przebieg rekordów szybkości w kraju i na świecie”.

4

Byłem z Niklińskim na Beskidzie przez kilka dni. 17-go kwietnia miały się tam rozpocząć międzynarodowe zawody najszybszych narciarzy świata. Nikliński ich sprosił. A PZN zatwierdził imprezę, znalazła się nawet w kalendarzu imprez (17—20 kwietnia 1980). Nikliński brał udział w proteście zawodników w Świńskim Kotle i jak inni został dyskwalifikowany. Tym samym została wykreślona z kalendarza międzynarodowa próba bicia rekordu na Beskidzie. Nikliński zalegałował na własny koszt do wszystkich zawodników, że zawody się nie odbędą.

On sam nie ma prawa startu w lipcowej próbie w Cervini, jako że do końca roku jest zawieszony w startach. „Prywatna sprawa Niklińskiego” nie jest, jak widać, tylko jego sprawą, ale tylko wtedy, gdy można go w czymś zawiesić, od czegoś odsunąć, coś mu uniemożliwić. W tych sprawach Polski Związek Narciarski jest ciałem jak najbardziej kompetentnym. Sześć wysokołębienia tego „ciała” zaproponował dyskwalifikowanie Niklińskiego i pozostałych „buntowuszek” do roku 1982, ale mu odradzono, bo wyglądałoby to na chęć zlikwidowania narciarstwa zjazdowego w Polsce. A tak, narciarstwo w Polsce jest.

Widąc to gołym okiem na Kasprowym Wierchu: w restauracji popijają „Okocim” trenerzy i działacze, na stoku zsuwają wśród bramek nieletni zawodnicy, a na Beskidzie, kilkadziesiąt metrów wyżej, samotny Nikliński przygotowuje swoją trasę do kolejnej próby.

MAREK KUSIBA

Konkursy literackie

Młodzieżowy Klub Twórców Kultury „Forum” ZK ZSMP wspólnie z Krakowską Radą Związków Zawodowych ogłasza konkurs literacki pod hasłami: „Robotnicy — młodość, postawy, polityka”. Organizatorem zależy w szczególności na utworach podejmujących problemy kształtowania się postaw, nawyków, zachowań, które nie wywołują się współczesnie, lecz przetrwały w społeczeństwie. Liczą też na udział w konkursie młodych robotników i rolników, których prace stać się mogą dokumentem świadomości młodej pracy.

Konkurs obejmuje trzy kategorie: poezja (zestaw co najmniej 3 wierszy), małe formy prozatorskie oraz dramatyczne (lub scenariusz filmowy). Utwory w trzech egzemplarzach maszynopisu, opatrzone godłem, z dołączoną kopertą, zawierającą imię, nazwisko, zawód i adres autora, należy nadsyłać do 30 października 1980 roku pod adresem: Młodzieżowy Klub Twórców Kultury „Forum”, 31-008 Kraków, Rynek Główny 28 z dopiskiem: „Y Konfrontacje Literackie”. W konkursie mogą brać udział twórcy nie zrzeszeni w ZLP, mający wydaną najwyżej jedną książkę.

Do 30 maja br. można nadsyłać nie publikowane i nie nagradzane utwory (3-5 wierszy) o dowolnej tematyce na III Ogólnopolski Konkurs Poetycki Miast Federacji Kopernikowskiej o Nagrodę „Liscia Akantu”. Adres: Miejski i Międzyzwiązkowy Dom Kultury, ul. Rodziewiczów 28, 01-201 Warszawa, Uroczystość rozstrzygnięcia konkursu i wręczenia nagród nastąpi podczas tegorocznych Dni Olsztyna. (Jot)

coś mi nie wyszło, lub nawiąłem termin. Drugi przełożony, wykorzystywał prawo uczciwość w sposób brutalny i perfidny, nie tylko przeciwko mnie, obrabując mi siedzenie u władz nadzórnych, lecz, co gorsza, wykorzystywał ją przeciwko innym i sam starał się wyciągać dla siebie jak największe korzyści.

Z tymi pojęciami łączy się jeszcze skromność, cecha, któ-

Latające „Dromadery”



Wytworna Sprzętu Komunikacyjnego PZL w Mielcu (woj. rzeczowskie) — to znany w kraju i za granicą producent samolotów rolniczych. Stąd pochodzi pierwszy w świecie „rolnik” o napędzie odrzutowym. Tu powstał także M-18, który otrzymał nazwę „Dromader”.

Prace konstrukcyjne nad tą maszyną rozpoczęto w początku 1975 roku, a już w następnym został wypróbowany w powietrzu

pierwszy egzemplarz. Seryjną produkcję rozpoczęto w cztery lata po zakończeniu projektu wstępnego. Dotychczasowa eksploatacja „Dromaderów” nad polami w kraju i za granicą wykazała całkowitą ich sprawność i uniwersalność, przynosząc jednocześnie duże uznanie miłośników konstruktorów i producentów.

Zdjęcia CAF — ANDRZEJ ŁOKAJ

sterki, bo krosno musi pracować jak zegarek. A ten nagłe przerywa mi i rzecze: „Jakżeś Pan taki mądry, to pokaż Pan jak to się robi?”

— Dobrze! — odrzekłem. Dawaj Pan swoje klucze i idź Pan do szatni.

Nie wiedział biedak o tym, że wcześniej jeszcze, bo w czasie studiów przez pół roku pracowałem jako pod mistrz, a nauki pobierałem od dużo lepszego mistrza niż on. Jasne, że ustawałem kros-

każdego człowieka musiałem traktować inaczej, aby uzyskać zamierzone cele. Wśród grupy ponad trzydziestu mistrzów tkackich miałem starych, młodych, doświadczonych i dopiero co po technikum, lepszych i gorszych, lecz bardzo złych na ogół nie sportykałem. Miałem i bardzo dobrych, którzy na każde wołanie jak w dym szli. W tkalni na trzy zmiany pracując zawsze trzech mistrzów i od wyników ich pracy zależa-

żąc przez tkalnie szczególnie w nocy, czasami widziałem takiego jak spał na siedząco przy „falbanku”, omijałem go z daleka lub udawałem, że tego nie dostrzegam, bo ja wiedziałem jedno: gdy będzie trzeba, to tkacze nie będą go szukać godzinami, on wstanie i szybko usunie usterkę. Czy tacy ludzie mogą dziś liczyć na sukces? Jestem realistą, a może nie, jednak na pewno chodzę po ziemi, na której różne cuda zdarzyć się mogą. Jak jest nas 35 milionów Polaków, każdy pod pojęciem sukcesu co innego rozumie. Dla jednych sukcesem będzie zdobycie furi pieniędzy, samochodów; dla innych — budowa i urządzenie domu jednorodzinnego, wyjeżdżanie za granicę, zdobycie wymarzonej kobiety, podwyższenie własnych kwalifikacji zawodowych, kariera naukowa, uzyskanie rekordów, zdobywanie niedostępnych szczytów górskich, opłynięcie samotnie kuli ziemskiej. A jeszcze inni mianiem sukcesu określają zdobycie świadectwa mistrza wykwalifikowanego, uratowanie innego ludzkiego życia, uznanie i uśmiech przełożonego, czy to za dobrą codzienną pracę, harmonię i zgodność rodzinnego pożytku, radosny i szczęśliwy uśmiech dziecka, możliwość podziwiania matki przyrody, zdobycie matury, kupno roweru, podłożenie świni koczowniczej itd. Ale czasami zdarza się jeszcze inaczej. Kiedyś byłem świadkiem takiej wypowiedzi:

trójkę opędziliśmy 5 litrów wódki.

Ja w swoim życiu miałem sporo sukcesów. Zaliczylibym do nich: zdanie i uzyskanie dyplomu, ukończenie wyższej uczelni, awanse w pracy za wodowej, począwszy od inspektora a na kierowniku działu, wydziału i zakładu (nie całego przedsiębiorstwa) skończywszy na razie, uzyskanie świadectw z Urzędu Patentowego jako współtwórca na wzór użytkowy i na dwa patenty, możliwość pracy pod wodzą dwóch wspaniałych przełożonych, pozwalających na rozwinięcie własnej inicjatywy, o których zawsze mogę powiedzieć jak Wolodyjowski do Czarnieckiego: „...Tylko pod Tobą gonć wódz kochany...”. Byli to nie tylko wspomniani ludzie, lecz artyści w swoim zawodzie, wymagający, z otwartą głową, mądrzy, odważni, zdecydowani, szybci w działaniu i zawsze zasługujący na miano człowieka. Jak na razie miałem czterech przełożonych, lecz najwięcej satysfakcję miałem przede wszystkim z dwoma. To oni nauczyli mnie entuzjazmu do pracy, solidności, wysoko ocenili prawdę, Ta skłonność i nawią do mówienia prawdy przysparza mi wiele kłopotów i pomimo wielkiego dla nich szacunku zastanawiam się czy słusznie pogłębiał w swoich podwładnych też szlachetną skłonność, gdy jeszcze tyle wokół kłamstwa. Myślę, że prawdy nie należy się bać i warto o jej zwycięstwo walczyć, i myśleć, że jeszcze nie jeden sukces mnie czeka.

— Stary! Mówię ci, dosłownie bombal! Nie masz pojęcia co za sukces! Wczoraj we

trójkę opędziliśmy 5 litrów wódki.

Ja w swoim życiu miałem sporo sukcesów. Zaliczylibym do nich: zdanie i uzyskanie dyplomu, ukończenie wyższej uczelni, awanse w pracy za wodowej, począwszy od inspektora a na kierowniku działu, wydziału i zakładu (nie całego przedsiębiorstwa) skończywszy na razie, uzyskanie świadectw z Urzędu Patentowego jako współtwórca na wzór użytkowy i na dwa patenty, możliwość pracy pod wodzą dwóch wspaniałych przełożonych, pozwalających na rozwinięcie własnej inicjatywy, o których zawsze mogę powiedzieć jak Wolodyjowski do Czarnieckiego: „...Tylko pod Tobą gonć wódz kochany...”. Byli to nie tylko wspomniani ludzie, lecz artyści w swoim zawodzie, wymagający, z otwartą głową, mądrzy, odważni, zdecydowani, szybci w działaniu i zawsze zasługujący na miano człowieka. Jak na razie miałem czterech przełożonych, lecz najwięcej satysfakcję miałem przede wszystkim z dwoma. To oni nauczyli mnie entuzjazmu do pracy, solidności, wysoko ocenili prawdę, Ta skłonność i nawią do mówienia prawdy przysparza mi wiele kłopotów i pomimo wielkiego dla nich szacunku zastanawiam się czy słusznie pogłębiał w swoich podwładnych też szlachetną skłonność, gdy jeszcze tyle wokół kłamstwa. Myślę, że prawdy nie należy się bać i warto o jej zwycięstwo walczyć, i myśleć, że jeszcze nie jeden sukces mnie czeka.

TOM LEMIR

co nasze...

rej nam zawsze brakuje. Gdy zaczynałem pracę w jednym z wielkich kombinatów włókienniczych i po raz pierwszy wszedłem na tkalnie ogarnęła mnie trema. Wiedziałem, że wszyscy obserwują mnie i przedzię czy później znajdzie się „ktoś”, kto będzie chciał sprawdzić „co też ten inżynierek potrafi”. Po pół roku mojej pracy mieliśmy w tkalni wejść na nowy asortyment tkanin, tkanej w splocie płóciennym. Wszyscy znamy pojęcie „płótno”, lecz dobrzy mistrzowie tkackie wiedzą, iż splot, aczkolwiek prosty, wymaga dużej dokładności i precyzji nie tylko od obsługi, lecz również od maszyny. Tłumacząc więc mistrzowi, że krosno należy dokładnie przetrzeć, sprawdzić wszystkie mechanizmy i usunąć zauważone u-

na dłużej niż on, gdyż codziennie manipulację z kłuzkami dają wprawę, ale gdy krosno po sześciu godzinach ruszyło, tkaczka śmiała się jak mogła. Gdy mistrz przyszedł po klucze, rozmowa nasza była krótka:

Ja: Taki mistrz, za którego mam pracować na zespole, nie jest mi potrzebny.

On: Panie inżynier! Ja pana bardzo przepraszam. Podobna sytuacja już się więcej nie powtórzy. Niech pan da mi szansę!

Dalem, bo wiem, że dobrze kierować, to zrozumieć podwładnego: po prostu trzeba popracować jako podwładny, a wtedy zna się te „bóle”. Od podwładnych zawsze można się wiele nauczyć. I

KOLUMNA LITERACKA

Do dobrych tradycji Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy należy organizowanie różnorodnych imprez literackich, które służą zarówno popularyzowaniu dorobku pisarzy, jak też pobudzaniu twórczości w poszczególnych środowiskach. W naszym regionie tegoroczny maj zaowocował obficie tego typu przedsięwzięciami.

Pomijając liczne spotkania autorskie, organizowane w różnych miejscowościach, a także kiermasze książek i inne rozproszone poczynania popularyzatorskie, trzeba w tym miejscu powiedzieć o niedawno odbytym sympozjum, które poświęcone było pisarcom związanym z Białostocką „Kolumna literacka”.

Zdenerowanie nastąpiło. Kilka minut przed rozpoczęciem ceremonii, a taksoi dla pary młodej w dalszym ciągu nie ma. Dla gości są, więc wyjeżdżają pierwsi. Droga wśród przelotnych sieniawiczkowskiej Tylologii. Ruiny zamku przylepione do wapiennych skał przedziwnie uformowanych, nie wiadomo co jest częścią zamku, a co naturalną formą skał. Tylko fragmenty gotyckich okien, sklepienia krzyżowo-żebrowych, zarysy ostrej luków, na których wspiera się budowla, przypominają dawną świetność. To tylko moment patrzenia, a tyle sążnień.

Za chwilę błękit. Sterty uschniętych drzew zrzuconych na wyboistą drogę. Z chwilą, gdy za zagajnika pokaze się samochód z bukieciem kwiatów na masce, młodzi muszą się wykupić butelką wódki, aby droga została oczyszczona, przejeżdżana w nowy etap życia.

Wiejski barokowy kościółek okolony niewysokim murem, wiatle, jasnozielone żółta trawy wynurzają się powoli z ziemi, niepewne jeszcze wiosny. W kościele przejmujący chłód, niewidzialny, przenika ludzkie wnętrza. Rozmłodowane usta tworzą intymne ciepło. Płonące na ołtarzu świece polewają słońce, niektóre tracą o pominięciu, aby stały się jeszcze cieplejsze. Wiele słów zębnymi osada na parapetach okien. Książki pochłania kartki białej, wrzok jego wędruje między piórnymi świecy a zegarkiem. Drzwi otwarte się szeroko, do ołtarza zbliżają się młodzi. Za chwilę wypowiedzą głośno to, co sobie przyrzekli od dawna. Wtedy były to słowa bardziej poważne, intymniejsze, ważniejsze. Jeśli Bóg jest wszędzie, był i wtedy przy tym, gdy powiedzieli sobie to po raz pierwszy, a teraz potwierdzają je tylko w majestacie świec, rodziny, że będą sobie wierni do śmierci.

Dialog zasłyszany w pierwszych minutach uroczystości:

- będą szczęśliwą parą, on zarabia cztery tysiące,
- mają meble,
- mieszkanie,
- mogą być szczęśliwi,
- miłość,
- co tam panie miłość, ona mija, reszta zostanie.

jak zawsze zainteresowana żywo pobudzeniem twórczości i krytycznego o niej myślenia, poświęca temu sympozjum odrębny artykuł. Zamieszczamy również kilka utworów poetyckich nagrodzonych w konkursie, rozstrzygniętym z okazji Białostockiej Wiosny Literackiej.

W najbliższym czasie odbędzie się także Święto Kultury Staropolskiej w Łomży, połączone z ogólnopolskim sympozjum pisarzy. Poprzedzając to ważne w życiu regionu wydarzenie, drukujemy najnowsze opowiadanie Jana Kulki, twórcy od kilku lat związanego z Ziemią Łomżyńską, który w bieżącym roku obchodzić będzie 25-lecie pracy literackiej.

Wesele się rozkręca, pewne sprawy zakręca, inne wykrecia, a muzyka gra. Jedzą o-biad. Schab, kura, pieczeń wołowa i gorzko, gorzko.

Rozpamiętuje ten dom pełny ludzi. Gdzie ci młodzi pój-dą spać? Do sąsiadów, na strych, może udadzą się do ruin zamku, w nich tylko tej nocy będą mogli być sami, bezpieczni. Tutaj należą do wszystkich. Patrzają na młodych, wspominając jak to oni kilkanaście lat temu męczili się z gośćmi do świtu. Bo to w kołcu nieważne, co z tego wesele zapamiętują, tylko co rozpowiada goście, sąsiedzi, najbliższa okolica. Nieważne, co zostało zjedzone, ile przepito litrów, tylko ile rozdano sąsiadom, ile z tego wyrzuci się na śmietnik.

Dialog w godzinie później:
— ślub w kościele mieli piękny,

Jan Kulka

Wesele niedaleko ruin zamku

- za dwa tysiące,
- z muzyką bytoby drożej,
- tu nie wchodziły w grę pieniądze, organista - uciek!
- Nikt nie chce grać jak pro-boszcz każe,
- ale zawsze to lepiej grać jak proszą,
- bezpiecznie,
- nie zawsze, a na pewno wygodnie.

W drugim pokoju stoły poszły pod ścianę. Kurz z podłogi osiada na kanapkach, nie wiadomo już teraz, co tu jest przyprawą, dekoracją, a co tym, co unosi się z podłogi na nakryty stół. Nie ma to większego znaczenia, niewiele z tego zostanie już do końca zjedzone. Kto tu z kim tańczy. Rodzina panny młodej zawiera przymierze, sojusz, pakt, układ na wieczne czasy aż do pierwszej podłogi jakiegokolwiek spadku — z rodziną pana młodego. Nie żyją już Matka, Ojciec młodego pana, nie doczekali chwili, aż ten najmłodszy zdecydował się założyć gniazdo, potwierdzone urzędową pieczęcią. A przecież la-piecząc nie gwarantuje ni-

Post. Żoładek wyjałowiony, nie mógł sobie wczoraj pozwolić na całkowite przyjęcie święconego śniadania. Ciężko pracuje w hucie. Papięć dał mu dyspensę od postu, a zima nie. I teraz dopiero się umartwia, post się przedłuża. Patrzy więc tylko spod przymrużonych powiek na wielkie zmartwychwstanie stołu.

Dochodzi godzina dwudziesta pierwsza. Jan rozmawia z bogatym wujem — rzemieślnikiem. Spotkanie po kilku latach:

- ty dalej w tym małym miasteczku,
- dalej,
- mój syn jest lekarzem, kupilem mu samochód, zbudowałem dom,
- to dobrze,
- a ty,
- rodzice umarli. Sam do-chodzę do wszystkiego. Z tych słów, co we mnie, nie można mieć nic takiego, co by się równało z tamym. Trochę książeczek i sporo bezsensnych nocy,

— ludzie cię czytają, ale nigdzie tych broszur nie ma, mógłbyś tego wydać więcej,

— musiałbym być Juda-szem, żeby móc cokolwiek czy kogokolwiek wydać. W tym nie ma prywatnej inicja-tywy,

— ale samochód to by ci się przydał, taki jak mój syn, czerwony, szeroki, za-graniczny.

Przydałby się teraz, żeby uciec przed wujem na drugi koniec stołu.

Rozpoczęto śpiewy. Naj-głośniejszy jeden z dalekich kuzynów, szczupły blondyn o mocno zadartym nosie i krótko strzyżonych włosach. Sięga po wysokie tony party-zanckich pieśni i tylko pa-trzeć, aż upadnie jego głowa na stół i zamilknie na kilka godzin. Wyprzedził wszyst-kich o dobre kilka kielisz-ków. Repertuar jest niemal klasyczny na tego rodzaju u-roczystościach. Odświeżany od czasu do czasu, zależnie od tego, jakie roczniki ucie-żniast w biesiadzie. Główny zestaw piosenek zaczyna się gdzieś w okolicach „Płonie ognisko w lesie...”, „Dziś do ciebie przyjdę nie mogę...” i kończy się na piosenkach z rocznika Młynarskiego „W co się bawić...”. Po jakimś czasie zmieszano się do wszyst-kiego w okropną kakofonię. Biesiadnicy skupili się w róż-nych rodzinnych grupach, podgrupach, każda z nich in-tonowała co innego. Wątki się gmatwały, przenikały i w końcu wszystkie motywy o-siadały równomiernie na o-brzędach kieliszków. Wódka spłukiwano niedośpiewane do

Upalny dzień lipca, wczesne popołudnie. Do domu rodzi-ców Jana kilka godzin temu wszyscy wrócili z pogrzebu babki. Stępa. Wujowie, wśród nich syn zmarłej — ten do którego za chwilę podejście, gdzieś pod koniec drugiego półtrasa zaczął udawadniać, jakie usługi przed śmiercią wykonywał przy matce. Po kilku następnych zdaniach, korzystając z otwartych ust powiedział, że ta pierzyna, stół i kilka innych rzeczy (wszystko to było nie nie-warte) należało do niego. Inni też zaczęli coś na ten temat. Tak zaczęli czuć panie sio-ły. Nie przebiegano w słowach. Wtedy stało się to czego nikt nie przewidział. Jan, wtedy jeszcze młokos, uderzył pięścią w stół i po-wiedział, zwracając się przy tym do tego wuja, który te-raz spieszy do niego z kie-liszkiem w rękę:

— może by wuj teraz po-szedł i rozkopał ten grób z powrotem. Ta suknia, te bu-ty, bielizna na nieboszcze też są coś warte. No jassa, szyb-ciej do choiery!

Po tych słowach wszyscy się rozeszli. Przez kilka lat nikt z rodziny z nim nie roz-mawiał i o czym teraz na tym weselu...

Opowiadał im, że jeszcze się nie chce umierać, że wszy-stko jest dobrze, cudownie, czy inne pięknie polewano słowa, którym język stawia opór. Nie ma to wszystko sensu. Więc mówi tylko, że wszystko jest w porządku i pod pretekstem „zapomniałem papierosów” uwalnia się od tego towarzystwa.

Bigos pochłania całkowicie jego uwagę. Jakiś powoli sma-kując korzenie, pieprz, pa-prykę. Spore kawałki mięsa, boczek, kiełbasy dymły ni-czym małe parostaki, poru-szane widelcem z jednego końca talerza na drugi. Nie było zbyt wielkiego sensu ob-ciążać się wszystkim i tak już nazbyt nadwerżonej wa-tróby.

Zaczął być to wszystko nudne. Pomyślał, że dobrze by było się zdrzemnąć. Gdzieś na strychu były przygotowa-ne materace, w jakimś ma-łym pokoju miało być kilka łóżek. Wyszedł do sieni. Orkiestra po przerwie (zapewne też jedli albo jak on wachali ten bigos) podjęła z nowym entuzjazmem swoją pracę rozrywkową. Saksofon cią-gnął po podłodze kilka par ja-kimś ostatnim tangiem. Na-strój smutku i znużenia. Go-ści ogarnął sen, wszystko te-raz dzieje się na jego pra-wach. Powinno się zakończyć tą zabawę. Ale coś to za we-sele, gdy nie można później powiedzieć:

— bawili się do białego ra-na.

Patrzył na tańczących, czy raczej włożących swe nogi

po podłodze i zastanawiał się, czy któraś z tych par była kiedy na porządnym balu. Czy oni, bez względu na wiek, potrafia się jeszcze dzisiaj bawić? Starzy zapo-mnieli to wszystko już dawno, młodych nie miał kto nau-czyć. Kultury zabawy nie można się nauczyć na kur-sach, tak jak porządnego rze-miosła. Przyswaja się ją w rodzinnym domu, wraz z pierwszym mlekiem matki.

Przez kilka minut przy-mierzał się do drabiny prowadzącej na strych, do miejsca snu. Sprawa nie była prosta. Jan po raz pierwszy stanął przed takim sprzętem i nie bardzo wiedział jak po niej wejść. Rozglądał się w koło, czy nikt go nie podpatruje. Potem zaczął się pisać w górę. Okropnie wybrudził swój jedyny garnitur, w którym od lat obsługiwał wszystkie uroczystości. Niezbyt zachęcające były te rozrzucone materace na strychu. Wiele osób już spało. Ciała spleta-ne, nie bardzo wiadomo, co do kogo należą.

Otworzył drzwi obok i wśliznął się do środka. Na jednym łóżku spały dwa złą-czone ciała. Zdjął buty, po-łożył się w ubraniu myśląc o szybkim zamknięciu powiek. Po krótkim czasie okazało się, że nie jest to rzecz łatwa, wręcz nawet niemożliwa dla człowieka o odrobinie wra-żliwości. Leżał więc przez kilka minut obserwując igra-nie cieni na firancie zawie-szonej u lekko uchylonego okna. Potem dobiegł go ści-szony dialog z drugiego łóż-ka:

- nie bądź dziwna, zdecy-duj się. Nasze wesele już za dwa miesiące,
- nie dziaś, on tam leży i wszystko słyszy,
- pijany jak biał, nim się nie przejmuj,
- poczekaj,
- na co, czyś ty zwario-wała, dwa miesiące czekać,
- nie gniewaj się, zrobię to dla ciebie. Ale jak on nie śpi,
- śpi na pewno.

Tak zaczęła się noc poślub-na i przedślubna. Jak tu moż-na spać. Orkiestra zagłuszała skrzypienie łóżka. Sytuacja okropna, ani teraz wstać ani leżeć spokojnie. Może by za-kaszkleć. Nie wypada. Tamci nabawia się nerwicy. Trzeba to przeczekać. Może w końcu się zmęczą i zasną. Nic z te-go. Krótki sen nawet posta-wiłby go na nogi. Nie ma in-nego wyjścia, trzeba się tak męczyć do świtu, a przed nim bardzo długa powrotna podróż do domu. Co powie znajomym, kiedy się będą pytać: jak tam było? Czy uda mu się płynnie wyrecytować: — znakomicie, bawilem się do białego rana.

Białostocka Wiosna

W dniach 17 — 18 maja odbędzie się w Białymstoku kolejna Wiosna Literacka, organizowana przez Zarząd Wojewódzki ZSM, klub MPiK i Ośrodek KKMP. W imprezie — prócz twórców z naszego regionu — wezmą udział także autorzy z innych ośrodków w kraju. W sobotę odbędzie się o godz. 18 spot-kanie w „Promenadzie” — z poetą i redaktorem wydawnictwa „Iskry” — Aleksan-drem Nawrockim, po czym za-planowano wieczór poezji i muzyki, w którym wezmą udział m. in. Jan Czykwin, Sokrat Janowicz, Wiesław

Kazanecki, Marek Kusiba, Elżbieta Kozłowska-Swiatkowska, Jan Leńczuk, Bogusław Pezowicz, Jerzy Plu-towicz i Michał Szachowicz

W niedzielę o godz. 11 w „Promenadzie” spotka się z czytelnikami Ryszard Kraśko, a następnie Stefan Pa-słuszewski oraz Paweł Soro-ka z Warszawy. Odbędzie się również turniej jednego wiersza. Przy okazji Wiosny Lite-rackiej rozstrzygnięty został konkurs dla członków KKMP i młodzieży szkolnej z województwa białostockie-go, łomżyńskiego i suwał-skiego. Poniżej prezentuje-my próbki poetyckie mło-dych. (Jot)

Aldona Borowicz

Rozmowa z Ileaną którą widziałam tylko we śnie

Gdy stajesz pośrodku nocy milcząca w progu mego domu ciemnieje ta gwiazda nad drogą, jakże powoli przestacza się w cięci meteoru twój ziąb chłodzi moje zaciśnięte palce i rośnie obok krzyku jak krzew tarniny złowieszcasz kasandro

doprawdy nie wiem co chcesz mi powiedzieć czyżby za chwilę miał-nastąpić nowy kataklizm wieży babel i jedynie ptak pozostawi mi swe skrzydła możesz je zabrać sobie

czy przybywasz by ostrzec mnie przed oszalełym morzem słyszysz gdzieś jego szum jak złowieszcasz odgłos burzy Jego głębokie wody są w twoim echu w milczeniu Chęć być zbawionym piaskiem pod stopami pielgrzyma wędrującego do starej mekki tej przystani anarchistów

kim jesteś Muzy poetów, czy tylko rozbitą muszlą przyplutym morza czy zagubionym wiosłem wikingów

Z jakiej wracasz podróży czy wierzyś w reinkarnację więc którą jej wersję cenisz najbardziej lecz milczysz

Może jesteś Ileaną pracórką wikingów zwiartowaną młodą finką

która umarła samotnie z zaciśniętym szalem na szyi

wiem że miałaś wielu kochanków w całej europie lecz żaden nie przybył tu w porę

mówisz że jesteś teraz jak wiecznie żeglujący odys przynoszą ci wiosną i pływ do swojej itaki bezładnej na długiej wąskiej łodzi proącoj poprzez ciemność przez głębię bałtyku nad stare fiordy

Płyn tam gdzie matka uparcie czeka na twój powrót martwy moja złowieszcasz kasandro

Zbigniew Tanajewski

Mówię do ciebie NIE

Nie wydawaj opinii o mnie jeszcze za życie Nie wrzucaj mnie w kompot z ostrych igieł zebrańców po cichej burzy Nie popychaj mnie na mur diamentowy Poczekaj jeszcze trochę nie zabierałem ze sobą diamentowego kasku Nie oszukuj moich myśli — one pozostaną na zawsze przetrwają nasze istnienie wszystko Nie udawaj się popijając swój słodki wyrób nektar puchy — który ratuje cię przed śmiercią Nie śmieć się bez powodu — przecież bez powodu nie powstałaś Nie zatrzymaj ciepłych konwali ułożonych w mym sercu na znak twojego ciała — one i tak nigdy nie zwiędną

Wojciech Żmudziński

Panie Janie Kochanowski

wiem którydyś sześleś wiem pod jaką lipą się zatrzymałeś wiem że robiłeś tam kleksy w okrzyku bardzo stylizowanym wiesz? ogrodowa alejka która płaskala ci stopy zadrzała mi twój ulubiony kamień a teraz posłuchaj czy to naprawdę ty wylałeś te drzewa nie ludz się urzule nie potrafia już grać w kasztany nie odbijając trawie płuc

Tadeusz Dawidejt

W trybie przypuszczającym

czas tracony na poszukiwaniach pan proust byłby niepotrzebny i może trochę bardziej smutny niż zazwyczaj a książkę gdyby uleciały co myślę pospadałyby z pewnością z półek na podłogę tworząc lodowy zator zemsty — namiastkę rekolekcji bo przecież brakuje im rak a panowie twórcy piszą ciągle i nadal

Na marginesie sesji literackiej

Przebieg sesji, jaka miała miejsce w dniu 12 maja br. w Białymstoku, potwierdził raz jeszcze słusność znanej prawdy, że sztuka wymyka się próbom definicji co najmniej równie skutecznie, jak samo życie. Już sama nazwa sesji: „Współczesni pisarze Białostocki” budziła kontrowersje, bo nie da się w sposób nie budzący wątpliwości uściślić ani jednego z trzech członów nazwy — to nie tylko pisarze tworzący na przestrzeni ostatnich 10 lat (a o takich organizatorom chodzilo); termin „pisarze” sugeruje, że chodziło w ogóle o ludzi pi-szących, a więc m.in. o auto-rów książek popularnau-kowych, a w rzeczywistości szło o poetów i prozaików — literatów; wreszcie pojęcie „Białostocki” jest nie-zmiernie rozbieżne i nawet w okresie minionych 10 lat — nie mówiąc już o latach sześćdziesiątych, jakie upłynęły od czasu powstania tworu administracyjnego nazwane-go województwem białostoc-kim — termin „Białostocki” rozumiany był rozmaicie.

Już z tych choćby wzgłędów współczesnym organizato-rów a jeszcze bardziej Walde-marowi Smaszczowi i Kazi-mierzowi Siemieniackim, którzy podjęli się próby prezenta-cji dorobku białostockiego śro-dowiska literackiego. Pierwszy nakłonił swoje wystąpienie poezji drugi — prozie. Z za-dania tego, w ocenie zabiera-jących głos w dyskusji pisa-

rzy oraz bibliotekarzy, każdy z referentów wywiał się inaczej. Występ W. Smaszcz-a oceniono na ogół pozytywnie, podkreślając wnikiwość (o im zdanem nabył wnikiwość, bo przypominającą wręcz natrę-tne zajęcia uniwersyteckie z wersyfikacją) analizę wierszy niektórych poetów, wśród nich Wiesława Kazaneckiego, Jana Leńczuka, Krystyny Konec-kiej, Sokrata Janowicza i in. O referacie Kazimierza Siemieniackiego dość zgodnie mówio-no, że był za płytki, zbyt po-wierzchniowy, zbyt w ele uwa-gi poświęcił reportażowi, co do którego nie ma pewności czy jest w ogóle gatunkiem literackim, a zbyt mało auten-tycznej prozie literackiej. Za-rzucono też K. Siemieniackie-mu, że zbyt ochoczo cytował opinie recenzentów, zbyt rzadko zdo-bywając się na własną ocenę zjawisk (o ile ten lub ów utwór prozatorski zasługuje w ogóle na miano zjawiska lite-rackiego).

Ja osobiście postawiłbym K. Siemieniackiego tylko jeden za-rzut, ten mianowicie, że nie zrealizował konsekwentnie wymogów organizatorów sesji, tj. dyrekcji Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej i Woje-wódzkiego Domu Kultury. Za-kladał on, że referenci będą mówili wyłącznie o książkach, niaszary aktualnie miesza-jących w woj. białostockim K. Siemieniacko nienotrzebnie więc włączył do tego grona Edwarda Redlińskiego i Ste-fana Maciejewskiego, bo pierwsze mieszka w Warsza-wie, drugi — w Krakowie.

Ale wobec własnej definicji autor referatu też nie był konsekwentny, bo w takim razie powinien był napisać choćby o Tadeuszu Gicgierze, Hannie Hoffmannowej, Henryku Syse czy wreszcie Ja-ninie Broniewskiej, bo prze-cież napisała „Biała plama”, której akcja rozgrywa się w woj. białostockim w granicach

z początku lat siedemdziesiątych. Znany poeta Wiesław Kaza-necki zabierając głos w dyskusji uczynił K. Siemieniacki zarzut, że nie odróżnia piś-miennictwa od literatury. Inny poeta, Jan Leńczuk, z gory-czą mówił o preferowaniu „owoców importowanych” — mimo zawartej w nich wielo-kość trucizny — i nie doce-nianiu rodzimych. Sokrat Janowicz wyrażając nadzieję: „nikt nie zrobi mi tego świni-stwa i nie podsumuje mnie” mówił o literackim lesie, któ-ry trudno wyhodować, o wielkich, drzewach i choi-nach,

kach, które ktoś od czasu do czasu rąbie.

Ale istotne zagadnienia, moim zdaniem, wydobyli na jaw bibliotekarze, zwłaszcza Elżbieta Wrzecionko z Biel-ska Podlaskiego i Leonard Daszuta z Sokółki. Stwierdzili oni mianowicie, że książki nie-kórych pisarzy mieszkają-cych w naszym regionie „nie wymagają żadnych zabiegów organizatorskich”. W przekła-dzie na język potoczny ozna-

cza to jak mi się zdaje, że książki te są czytane, gdyż budzą zainteresowanie, a nie dlatego że ich autorzy są mieszkańcami Białegostoku. Ci sami dyskutanci wyrazili żal, że ich pozytywna opinia dotyczy wyłącznie utworów pisanych prozą a nie poezji bo ta jest niemal nieznaną.

I to według mnie stanowi jedną z przyczyn niejednako-wego przyjęcia referatów W. Smaszcz-a i K. Siemieniacki Piszących wiersze jest wielu, lecz czytających — całkiem mało. Z prozą literacką rzecz się ma akurat na odwrót. Przyznają to nawet poeci, jeśli

zechcą się zastanowić bez uprzedzenia, zacietrzewienia oraz swoście pojmnowanego lokalnego patriotyzmu i „za-wodowej” solidarności. Tak chyba było zawsze. Nawet w czasach, gdy nie istniała po-wieść jako gatunek literacki, ludzie chętniej słuchali (i za-pamiętywali) twórcy epiki niż liryczne. Może dlatego, że proza jest a przynajmniej próbuje być — odbiciem codzienności, gdy poezja w sa-mym założeniu jest czymś odświeżającym? Kto dziś pamięta o rówieśnikach Homera, którzy tworzyli poezję lirycz-na?

Ten odwieczny podział lite-ratury na lirykę i epikę spra-wił, że referat W. Smaszcz-a został przyjęty niemal jedno-znacznie przychylnie. Bo kto się, proszę państwa, zna na poezji — współczesnej zwła-szcza — poza jej twórcami? A na prozie jak na filmie, teatrze, malarstwie i kulturze „w ogóle” znają się wszyscy. A przynajmniej uważają za swój obowiązek znać się. Dla-tego m.in. dostało się trochę K. Siemieniacka, który prób-ował bez większego powodzenia uszczuplać to, co każdy ze słuchaczy na swój pry-watny użytek poukładał so-bie całkiem inaczej.

A w rzeczywistości obaj re-ferenci byli godni współczu-cia, bo podjęli się rzeczy nie-wykonalnej: próbować doko-nać definicji tego, co w sa-mej swej naturze wymyka się wszelkim próbom definio-wania; próbować dokonać syntezy tego, co ma wartość jedynie wówczas, gdy się do tego podchodzi w sposób ana-lityczny. Bo przecież na dobry

ład, kogo poza bardzo wąskim kręgiem specjalistów z dzie-dziny psychologii, teorii a także historii literatury inte-resuje twórczość „jako taka” lub nawet jako suma kilkuset utworów wierszem i prozą? Natomiast mnóstwo ludzi in-teresują pojedyncze utwory. Każdy ma jakieś zdanie na temat przeczytanych książek, ale każdy chętnie zapozna się z opinią innego czytelnika, choćby po to, aby skonfron-tować swój pogląd, poddać rewizji smak, gust, stosunek do zachodzących zmian.

Czy to znaczy, że uważam zarówno sesję jak i próby obu referentów za niepotrzebne? Bynajmniej! Uważam tylko, że było to przedsięwzięcie nad wyraz trudne już choćby dla-tego, że w naszych warunkach pionierskie. Tym, co podej-ma się zarówno organizacji jak i referatów za parę lat — be-dzie łatwiej, bo będą mieli punkt odniesienia do sesji, jaka odbyła się w dniu 12 ma-ja br.

A swoją drogą to cieszy, że można się spierać o literaturę zrodzoną na Białostoccie. Pamiętajam czas, gdy kłócono się jedynie o to, czy literatura kiedyś tu zaczęła powstawać, przy czym „było to raczej monolog niż spór, bo większość twier-dziła, zgodnie, że twórcy ma-ją u nas niewłaściwy klimat. Mniejszość zainteresowanych istota sporu milczała i tworzy-ła.

RYSZARD KRAŚKO

